POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. ***Dnia 1-go listopada 1941r.*** **Rok III. Nr. 44**

BRYTYJSKO-POLSKA PRZYSZŁOŚĆ BAŁTYKU

I.—Polska po-wersalska i przyszła Polska na morzu

Sprawa Prus Wschodnich, przedstawiona w jednym z niedawnych numerów "Polski Walczącej," jako "polski cel wojenny Nr. 1," * ma zasadnicze znaczenie nie tylko dla naszej obrony na lądzie, ale równocześnie rozstrzygające znaczenie z punktu widzenia trwałości dostępu Polski do morza i naszego związku z Bałtykiem. Jednak obok sprawy Prus Wschodnich istnieje inne jeszcze bardzo ważne zagadnienie bałtyckie, które w wyniku tej wojny musi być rozstrzygnięte, jeśli chcemy na zawsze utrzymać się nad Bałtykiem i na Bałtyku.

Dostęp do morza, o który każdy Polak zdecydowany był bić się do ostatka—to pojęcie w różnych momentach ubiegłego ćwierćwiecza różny miało sens, różnie było rozumiane.

WERSAL DAŁ NAM TYLKO SYMBOLICZNY DOSTĘP DO MORZA

W warunkach pokojowych prezydenta Wilsona dostęp Polski do morza zjawił się w słynnym 13-ym punkcie, jako jeden z trzech zwrotów, symbolizujących wyrównanie krzywdy dziejowej Polski i pełnię jej odrodzenia—"wolna," "zjednoczona," "z dostępem do morza."

Skutkiem nieuświadomienia narodów anglosaskich o potrzebach Polski i sytuacji na Bałtyku, skutkiem błędów Konferencji Pokojowej, wreszcie skutkiem niezaradności naszej własnej propagandy—widać choroba chroniczna—ten nasz dostęp do morza w Traktacie Wersalskim wypadł naprawdę raczej tylko symbolicznie. Ale nawet i on—w następnych aktach międzynarodowych i posunięciach Sprzymierzonych nie został należycie zabezpieczony. . . .

Siedzieliśmy któregoś dnia z przygodnie spotkanym Szkotem nad morzem. Mówiłem mu, o tej tak ważnej dla nas sprawie, o której trzeba wciąż mówić Brytyjczykom, jeśli błędy Wersalu mają sie nie powtórzyć. W pewnej chwili spojrzawszy po obu daleko ciągnących się brzegach zatoki i po sobie, roześmieliśmy się równocześnie obaj. Szkot, który dobrze i prędko liczył, zorientował się, że 35-cio milionowa, bohaterska i pracowita Polska rozporządzała wybrzeżem morskim faktycznie krótszym od tej zatoki, stanowiącej zaledwie cząstkę wybrzeża Szkocji, bronionego obecnie przez Wojsko Polskie.

Kiedy w deszczowy, pochmurny dzień 10 lutego 1920 roku ułani polscy wjechali w fale Bałtyku w Pucku i rzucono pierścień, symbolizujący nasze zaślubiny z morzem—obejmowaliśmy 144 kilometry wybrzeża, licząc Hel w całym obwodzie oraz Zatokę Pucką. Po latach obejmowaliśmy z powrotem tylko cząstkę ziem polskich nad Bałtykiem—pustkowia i piaski, wydmy i krzewy, kilka ubogich wiosek rybackich, trochę kutrów i . . . nic więcej. Gdańsk, jedyne duże miasto i port, panujący nad naszym handlem morskim i naszymi drogami morskimi—wydzielono w "Wolne Miasto," które wkrótce już miało być pasożytem żerującym na naszym organizmie gospodarczym i beczką prochu, która wkońcu stała się bezpośrednim powodem wojny. . .

Ułańskie konie zanurzyły nogi w słonej wodzie, pierścień legł na dennym, bałtyckim piachu—symbolowi stało się zadość, objęliśmy w posiadanie symboliczny dostęp do morza. . .

POLSKA PRACA MORSKA

Żywo stoi mi w pamięci scena, która rozegrała się wówczas na piaskach Helu, w niespełna 20 lat potem—bohaterskiego Helu. Przyjechaliśmy tam liczną gromadą: młodzi żołnierze i ci, co lada miesiąc, lada tydzień żołnierzami być mieli. Paru setkami młodych nóg wpadliśmy na piachy wydm i otworzył się przed nami, przed wieloma po raz pierwszy w życiu, wspaniały widok otwartego morza, wdzierającego się spienionym nabiegiem fal na helską plażę. Poczuliśmy dech otwartego, bezkresnego przestworu. Z okrzykiem triumfu i radości, z rozpędem młodości runęliśmy z wydm na dół, przebiegliśmy kłusem piachy dopadliśmy fali i—stanęliśmy bezradnie. . . . Morze, wolny gościniec dookoła świata, zamykał drogę przybyszowi z głębi lądu, tak, jak ją otwiera przed żeglarzem.

Tak, jak my wówczas na piachach Helu, tak Polska stanęła w pierwszym czasie nad tym symbolicznym skrawkiem morza. Trochę bezradnie stanęła wobec nowych zadań, które błędy Wersalu uczyniły tak trudnymi do przeprowadzenia. Trzeba jednak przyznać, że od razu zabraliśmy się do pracy, chociaż cele tej pracy uświadomiliśmy sobie w pewnej mierze dopiero stopniowo, z biegiem czasu.

Przede wszystkim zrozumieliśmy, że trzeba te pustkowia i tę biedę zagospodarować i dźwignąć z nędzy. Od razu przystąpiliśmy do budowy kolei, dróg, popierania rybołóstwa, rozbudowy letnisk i t.d. Karygodnie zaniedbaliśmy tylko sprawę odebrania ziemi magnatom pruskim i oddania jej w rece kaszubskiej biedoty. Baron Krokow i inne grube pruskie ryby, chronione przez polską politykę zagraniczną—zachowały na Pomorzu do ostatka swój stan posiadania. Przed samą wojną miałem możność zajrzeć za kulisy ich pruskiej, a nastepnie hitlerowskiej roboty. Trudno wprost pojąć, że państwo tolerowało tę niemal jawną wrogą akcję i jej materialne podstawy.

Inne nasze posunięcia na wybrzeżu były szczęśliwe. Już od pierwszych lat zaczyna się rozwój maleńkiej rybackiej wioski—Gdyni.

Portem Polski miał być nadal Gdańsk. Antypolska polityka Gdańska i rosnące uświadomienie morskie Polski wyłoniło sprawę budowy w Gdyni drugiego portu polskiego obszaru gospodarczego. Dość prędko uświadomiliśmy sobie, że dostep do morza to przecież eksploatowanie wybrzeża, to naprawdę własny port. A gdy to uświadomiliśmy sobie, Gdynia urosła do rozmiarów pierwszego portu nad Bałtykiem i jednego z większych w Europie. Gdańsk pozostał w tyle za Gdynią, choć i on rozwijał się imponująco w porównaniu z czasami przedwojennymi.

A potem z kolei przyszło uświadomienie, że dostęp do morza—to eksploatacja morza, że samo wybrzeże nie wyczerpuje korzyści, jakie daje dostęp do morza, że trzeba wyjść na jego przestrzeń i głębie, że trzeba wyjść na morze, pracować na morzu, eksploatować szlaki morskie i bogactwa morza.

Rusza na przód sprawa budowy polskiej floty handlowej, która w krótkim czasie przekracza sto tysiecy ton, unowocześnia sie flota rybacka połowów przybrzeżnych, powstaje flotylla połowów dalekomorskich. Polska zaczyna żyć i pracować na morzu. Wychowuje młode pokolenie znakomitych żeglarzy świata. W ślad za rozwojem portu i floty handlowej szedł rozwój handlu i przemysłu morskiego.

MARYNARKA WOJENNA

Równocześnie z budzeniem się co raz pełniejszej świadomości morskiej, co raz powszechniej zrozumiano, że dostęp do morza to nie tylko wybrzeże, nie tylko praca i korzyści, płynące z eksploatacji dróg i bogactw morza, ale i obowiązki bronienia wolności morskiej. Nie bardzo zdawano sobie sprawę ze sposobów i środków obrony, ale ofiarnie śpieszono państwu z pomocą w budowie floty wojennej. I doprawdy ludzie, którzy rozumieli potrzebę posiadania przez Polskę silnej floty wojennej i sprawie tej służyli—więcej mieli trudności ze zdobyciem dla tej sprawy poparcia strony czynników odpowiedzialnych za obronę kraju, niż ze strony społeczeństwa. Ono w tym wypadku, podobnie, jak i wielu innych, miało niezawodny instynkt, nieomylne wyczucie potrzeb państwa.

Tym nie mniej plan budowy floty wojennej liczącej 150.000 ton, powzięty wkrótce po odzyskaniu niepodległości, nie był zrealizowany, co więcej—nie rozpoczęto go realizować. Flotę wojenną mieliśmy maleńką. Okazało się jednak, że wspaniałą i bohaterską. Ale każdy, kto walczył o zrozumienie potrzeby silnej floty wojennej, pamięta zawsze o tych tragicznych wątpliwościach, z jakimi sam musiał sie zmagać.

I tu dochodzimy do sprawy najważniejszej, która "Polska Walcząca" nazwała "polskim celem wojennym Nr. 1" oraz do tego, co nazwał bym celem wojennym nie mniej ważnym, powiedzmy Nr. 1a, celem nieodłącznym, który musi być dążeniem nie tylko Polski, ale i Wielkiej Brytanii, jeśli po wygraniu wojny pragniemy wygrać pokój i nie dopuścić do nowego kataklizmu za nowych dwadzieścia lat. . . .

POTRZEBUJEMY — DŁUGIEGO WYBRZEŻA, BEZPIECZNYCH BAZ

Każdy, kto poważnie traktował sprawę obrony naszego wybrzeża i morza, zdawał sobie sprawę, że przy terytorialnym stanie posiadania, jaki przypadł nam na podstawie Traktatu Wersalskiego, nie było możliwe obronienie się na wybrzeżu i na morzu przed atakiem niemieckim z lądu, powietrza i morza.

Na lądzie nasze Pomorze, na tyłach wybrzeża, rozciągało się ledwie 30—40 km., granicząc z obu stron z Niemcami i nie posiadając żadnej naturalnej obrony, bo nie była nią nawet Wisła od strony Prus Wschodnich, skoro terytorium Wolnego Miasta Gdańska rozpościerało się po obu jej brzegach.

Lotnisko w Chylonii i baza morska w Oksywiu były na dobrą sprawę w zasięgu ciężkiej artylerii nieprzyjaciela, zanim przekroczył granice Polski. Niemcy rozporządzali wszystkimi atutami na lądzie, morzu i w powietrzu przeciwko naszemu wybrzeżu. Gdynia i Oksywie mogły się bronić rozpaczliwie pewną ilość dni, nie mogły jednak być bazą naszej obrony i walki na morzu. Z chwilą wybuchu wojny z Niemcami Polska była skazana na odcięcie od morza i komunikacji morskiej ze światem od pierwszego dnia walki.

I dlatego sformułowany w "Polsce Walczącej" "polski cel wojenny Nr. 1," przyłączenie do Rzeczypospolitej Prus Wschodnich,—jest w istocie podstawowym warunkiem utrzymania się i trwania Polski na Bałtyku. Albo będziemy posiadali setki kilometrów wybrzeża z kilku portami i bazami wojenno-morskimi, możliwymi do obronienia, albo następna burza wojenna znów nas zmiecie i odrzuci z wybrzeża Bałtyku.

Ale nasz cel wojenny Nr. 1 nie wyczerpuje sprawy rzeczywistego i pełnego naszego bezpieczeństwa na Bałtyku i możliwości skutecznej obrony naszego morskiego stanu posiadania. . . .

BAŁTYK—MORZE ZAMKNIĘTE

Nie trzeba było osobiście przepływać cieśnin duńskich lub Kanału Kilońskiego, wystarczyło rzucić okiem na mapę, by przekonać się, że Bałtyk jest morzem zamkniętym, i że narody żyjące nad jego brzegami tak długo korzystają z wolności morskiej i dobrodziejstw wolnych szlaków morskich, jak długo pozwoli na to ten, kto panuje nad cieśninami duńskimi, a Dania panowała nad nimi tylko formalnie. . . .

Kiedy na początku XVIII wieku Piotr Wielki, budując Petersburg (dzisiejszy Leningrad) "wybijał dla Rosji okno na zachód," stosunki na Bałtyku były tego rodzaju, że wyjście na Bałtyk poniekąd otwierało drogę na szeroki świat. Jednak przywódcy polityczni Rosji zawsze zdawali sobie sprawę, że Bałtyk nie daje jej swobodnego oddechu. Stąd też stale wysuwane hasło "Carograd dla Rosji" (Stambuł dla Rosji, czyli—wyjście z Morza Czarnego w jej rękach). Stąd parcie na Daleki Wschód, na Pacyfik, zahamowane dopiero w 1904 roku przez Japonię. Stąd walka o "wielki szlak Północy," prowadzona nieśmiało, a przez bolszewików urzeczywistniana metodycznie i z uporem. Pamiętamy bohaterską epopeę "Czeluskina" — fragment tej walki. Walka o "Wielki szlak Północy," o regularną żeglugę wzdłuż wybrzeży Syberii aż na Pacyfik, łącznie z budową słynnego kanału Stalina, łączącego Leningrad i Bałtyk z Morzem Białym, była jednym z objawów dążenia do uniezależnienia się od mocarstwa, które kontroluje, a w czasie wojny trzyma w ręku cieśniny duńskie, jedyne wyjście z Bałtyku na szerokie wody, poza Kanałem Kilońskim, który leży na terytorium Niemiec.

W Polsce z tego, że Bałtyk jest morzem zamkniętym, na ogół słabo zdawano sobie sprawę. A przecież Bałtyk był morzem zamkniętym, zanim jeszcze na wiosnę 1940 roku Niemcy zajęły Danię. Nikt nie mógł przejść na Bałtyk wbrew woli Rzeszy, której flota i lotnictwo panowały bezapelacyjnie nad cieśninami.

W. Brytania panuje na oceanach i morzach świata. Ale nie na Bałtyku. Właściwie, właściwie W. Brytania na Bałtyku nigdy nie panowała. Wielki Nelson mógł zbombardować i zająć Kopenhagę, mógł wpłynąć na Bałtyk, ale nawet wtedy flota brytyjska nie zdołała zbyt wiele pomóc sojusznikom walczącym z Napoleonem. Kiedy Francuzi i Polacy oblegali i zdobywali Gdańsk—Anglicy nie mogli niemal zupełnie przyjść z pomocą oblęganym Prusakom i Rosjanom. Co więcej, w jednym z polskich pamiętników o tym oblężeniu czytamy, jak to piechota i artyleria polska zatrzymała na Mołtawie brytyjski okręt wojenny, co w pewnej mierze przyczyniło się do kapitulacji Gdańska, który stracił w ten sposób nadzieję pomocy z morza.

Nie panowała też W. Brytania na Bałtyku podczas poprzedniej wojny, nie panuje też i podczas obecnej wojny. I było to jednym ze źródeł słabości Sprzymierzonych od początku wojny. Niemcy są stale panami Bałtyku. Uniemożliwia to W. Brytanii bezpośrednią komunikację z jej wschodnimi sprzymierzeńcami i przyjście im z bezpośrednią pomocą. Z drugiej strony pozwala Niemcom na korzystanie z bałtyckich szlaków morskich, otwierających im drogi inwazji na kraje skandynawskie i stwarza możliwości bezpiecznych dostaw niektórych surowców, niezbędnych dla prowadzenia wojny.

Śmiało można by powiedzieć, że gdyby Bałtyk był morzem otwartym i W. Brytania panowała nad nim tak, jak panuje na innych morzach i oceanach, wiele wydarzeń tej wojny innymi, pomyślniejszymi potoczyłoby się torami.

OTWORZYĆ BAŁTYK DLA BRITISH NAVY

Otworzyć Bałtyk, wprowadzić na nim panowanie floty brytyjskiej jest to dla sprawy naszego dostępu do morza i wolności morskiej zagadnieniem tej samej niemal wagi, co przyłączenie do Polski Prus Wschodnich. Jest to zagadnienie równie ważne dla sprawy pokoju i bezpieczeństwa Europy. Jest to więc sprawa nie tylko nasza, ale również sprawa spokojnej przyszłości naszego kontynentu.

Jest rzeczą bardzo ważną i faktem bardzo szczęśliwym, że premier W. Brytanii i Wódz Walczącej Demokracji Churchill doskonale rozumie znaczenie otwarcia Bałtyku i włączenia go do mórz i oceanów świata, na których panuje bandera brytyjska. O tym, jak wielką przywiązuje on do tego wagę najlepiej świadczy fakt, że podczas poprzedniej wojny Churchill był entuzjastycznym szermierzem sprawy otwarcia Bałtyku siłą. Można się więc spodziewać, że myśl wprowadzenia po tej wojnie panowania floty brytyjskiej na Bałtyku znajdzie w jego osobie możnego rzecznika.

Mamy też dziś okazję jednania dla tej sprawy opinii brytyjskiej. Jest naszym obowiązkiem szerzyć w tutejszym społeczeństwie przekonanie, że w przyszłości nie można dopuścić do opanowania Bałtyku przez Niemcy, że nie przeszkodzi im w tym nigdy Rosja, która już w dwóch kolejnych wojnach nie zdołała osiągnąć większych sukcesów na morzu, że tylko otwarcie Bałtyku dla floty brytyjskiej i jej współpraca z polską flotą, opartą o bezpieczne bazy na wybrzeżu polskich Prus Wschodnich zabezpieczy na Bałtyku interesy brytyjskie i interesy pokoju europejskiego. Bohaterska postawa naszej małej, ale dzielnej floty, stwarza w społeczeństwie brytyjskim klimat przychylny dla sprawy naszych postulatów morskich.

Wykorzystajmy tę okoliczność, zdobądźmy opinie brytyjską dla sprawy przyszłego brytyjsko-polskiego panowania na Bałtyku.

Andrzej Doddies

---

* por. artykuł Karola Popiela na ten temat w nr. 31 z b.r.

A.B.C.D. i jeszcze jedno *A.*

A.B.C.D. Te cztery litery alfabetu oznaczają nie formalną co prawda, ale rzeczywistą koalicję mocarstw, które się przeciwstawiają wszelkiej dalszej ekspansji japońskiej—Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, Wielką Brytanię, Chiny i Indie Holenderskie (po angielsku *Dutch Indies*). Tak przynajmniej normalnie się te litery wyjaśnia. Właściwie jednak litera A oznaczać powinna nie tylko Amerykę, ale i drugi kontynent—Australię. Jest ona w konflikcie na Pacyfiku jak najżywiej zainteresowana i będzie musiała w nim odegrać decydującą rolę. Ale tak się zawsze składa, że o Australii się zapomina. Nawet w starym polskim dowcipie porównującym kobiety z kontynentami, o sześćdziesięcioletnej kobiecie mówiło się "zapomniana, jak Australia."

Obecnie przypomniał Australię światu nowy jej premier, Curtin. On to bowiem ogłosił, że porozumienie między mocarstwami co do spraw Pacyfiku jest już dokonane (wzbudzając tym całą powódź domysłów, co pod tym porozumieniem należy rozumieć), i że bezpieczeństwo Australii jest zapewnione.

Nie ulega wątpliwości, że w razie wojny między Japonią a Wielką Brytanią Australia jest co najmniej równie zagrożona, jak Singapore i Indie Holenderskie. Nie ulega wątpliwości, że w planach ekspansji japońskiej zdobycie Australii zajmuje jedno z napierwszych miejsc.

W razie konfliktu na Pacyfiku nie tylko bowiem strategiczne usunięcie Australii na bok jest nie do pomyślenia, Australia jest nadto przede wszystkim idealnym terenem kolonizacyjnym, a takich terenów, jak wiadomo, Japonia stale poszukuje. Jest terenem kolonizacyjnym dlatego, że oddawna władze australijskie zupełnie świadomie zamknęły prawie zupełnie Australię dla imigrantów, obawiając się, że ich napływ obniży poziom życiowy.

Na całym kontynencie australijskim żyje zaledwie 7 milionów mieszkańców, prawie wyłącznie Anglosasów. Ludność tubylcza jest bardzo nieliczna, jest ona zresztą na najniższym bodaj poziomie ze wszystkich mieszkańców kuli ziemskiej. Wielu tubylców żyje jeszcze w epoce kamienia łupanego. Żółtych Australia zasadniczo nie wpuszczała — jest ona, podobnie jak Południowa Afryka, ustawowo "krajem białych ludzi." Na niedopuszczenie zaś imigrantów nie anglosaskich wymyślono bardzo dowcipny sposób: dyktando. Australia nie chce mieć analfabetów, a więc każdy emigrant musi, aby uzyskać prawo wjazdu, napisać bezbłędnie dyktando. Ustawa jednak nie określa w jakim języku ma być to dyktando. I tak, gdy raz zjawił się kandydat mówiący doskonale ośmioma głównymi językami europejskimi, dano mu dyktando w języku baskijskim i sromotnie odpalono jako analfabetę.

Do obecnej wojny Australia weszła bez wahania. Pułki australijskie bohatersko walczyły w Libii, w Grecji, na Krecie. Wobec Japonii jednak polityka australijska była niezwykle powściągliwa. Były premier australijski Menzies, który był jedną z głównych podpór Neville Chamberlaina w jego polityce monachijskiej, próbował podczas obecnej wojny prowadzić podobną politykę w stosunku do Japonii. A więc Australia postanowiła nawiązać bezpośrednie stosunki dyplomatyczne z Japonią i przyjazd posła japońskiego był okazją do wymiany masy uprzejmości. Podczas swego pobytu w Londynie, kilka miesięcy temu, p. Menzies zaskoczył dziennikarzy, obecnych na śniadaniu, wydanym na jego cześć przemówieniem, będącym zupełnie wyraźnym ukłonem w stronę Japonii.

Menzies jednak upadł. Nowy rząd Mac Faddena nawiązał stosunki dyplomatyczne z Chinami. Obecnie zaś, trzeci w ciągu kilku miesięcy rząd Curtina wyraźnie już zerwał z dyplomatyzowaniem i przygotowuje się do rozgrywki.

Oczywiście ta zmiana stanowiska nie tłumaczy się jedynie zmianą rządu. Rozstrzygający wpływ miała zmiana sytuacji zewnętrznej, fakt, że agresja japońska staje się co raz bardziej prawdopodobna. Niewątpliwie jednak chamberlainizm Menziesa i fakt, że Curtin jest przywódcą Labour Party, która miała stanowisko zdecydowane w sprawie wojny chińsko-japońskiej nie pozostał bez wpływu.

Mówiliśmy o dwóch zmianach rządu w ostatnich czasach. Australia bowiem żyje od ostatnich, przedwojennych wyborów w stanie równowagi politycznej zupełnie niestałej. Wybory te dały koalicji rządowej, której szefem był Menzies, przewagę tylko jednego mandatu. Przyczem koalicja ta składała się z przeważającej liczby posłów konserwatywnych, którym przewodził Menzies, z kilkunastu posłów partii farmerów, pod przywództwem Mac Faddena i z dwóch dzikich.

Otóż po powrocie Menziesa z Londynu okazało się, że jeden z tych dwóch dzikich się zbuntował. Że zaś i w samym łonie partii Menziesa było wielu niezadowolonych, nie tyle z jego polityki, co osoby — zarzucano mu zbytnie szafowanie krwią australijską, czyniono go odpowiedzialnym za straty australijskie na Krecie, miano pretensję o to, że w momencie krytycznym pojechał do Londynu, zamiast siedzieć na miejscu i—Menzies musiał ustąpić. Rządy objął więc przywódca drugiej partii koalicyjnej Mac Fadden. Gdy jednak przy wniesieniu budżetu okazało się, że obaj dzicy mają zamiar głosować przeciw rządowi, to i Mac Fadden ustąpił i do władzy doszła australijska Labour Party, której przywódca Curtin został premierem.

Jak z tego widać wojna jest jeszcze daleko od Australii. Jeżeli bowiem idzie o sam stosunek do wojny, to nie ma różnicy między Menziesem, Mac Faddenem czy Curtinem. Wszyscy są stuprocentowo za prowadzeniem walki aż do ostatecznego zwycięstwa. Dojście do władzy Labour Party nie oznacza nawet wybitnej zmiany kursu w polityce wewnętrznej. Curtin jest przywódcą prawicy partyjnej i budżet jego będzie zapewne budżetem ortodoksyjnym, nie będzie próbą w kierunku socjalizacji. (Na to zresztą nie pozwoliłby sam fakt, że rząd Curtina zależny jest od głosowania dwóch dzikich, nie socjalistów.)

Jeżeli więc nie doszło do rządów koalicyjnych ani za czasów Menziesa, który kilkakrotnie, a ostatni raz przed samym swym upadkiem proponował Labour Party koalicję, to przede wszystkim ze względu na zaognienia osobiste czyli na sprawy w czasie wojny prawdziwie dziesięciorzędne.

Obecnie w kołach partii rządzącej zaczyna się przemyśliwać o nowych wyborach. Labour Party jest dosyć pewna, że wybory te dałyby jej znaczną większość i skończyły tę niezdrową sytuację, gdzie dwóch posłów "dzikich" decyduje o tym, czy w Australii ma rządzić prawica, czy też lewica.

To rozwiązanie byłoby oczywiście najlepsze. Ale ostateczna decyzja w tej mierze nie będzie zależała od p. Curtina ani od żadnego z polityków australijskich. O tym, czy w Australii będą rozpisane nowe wybory zadecyduje bezapelacyjnie Tokio. Wybory bowiem i walka wyborcza możliwe są nawet w kraju prowadzącym wojnę, nawet, gdy synowie jego krwawią się na pobojowiskach. Ale możliwe są wtedy jedynie, gdy pobojowiska te odległe są o tysiące mil. Z chwilą, gdy Australia znajdzie się w stanie wojny nie tylko z Niemcami i Włochami, ale i z Japonią, z tą chwilą o wyborach do parlamentu już nie będzie mowy. I zapewne z tą chwilą ten rząd koalicyjny, który dzisiaj politykom australijskim wydaje się niemożliwy, powstanie z zadziwienia godną szybkością.

Czesław Poznański

Ś. P. STANISŁAW KOWALSKI

Porucznik W.P.

Były oficer 20 p.p., b. dowóca plutonu w Baonie K.O.P. "Dukla" w kampanii wrześniowej, b. dowódca plutonu rozpoznawczego II Baonu 1. Pułku Grenadierów Warszawy w kampanii francuskiej.

Odznaczony "Krzyżem Walecznych" i "Croix de Guerre," zginął śmiercią żołnierską w hiszpańskim obozie Miranda de Ebro dnia 4.IX.1941 r.

B. Dowódca II Baonu 1. Pułku Grenadierów Warszawy i Koledzy

Szkic sytuacyjny

CHARKÓW I MOSKWA

Upadek Charkowa zdaje się nie ulegać już wątpliwości, jakkolwiek w chwili, gdy piszemy te słowa Rosjanie nie przyznają się jeszcze do ewakuacji tego miasta. Wygląda również na to, że marsz na *Rostów* przybrał na sile i że należy się liczyć z upadkiem tego miasta. Straty tych dwóch punktów są poważne, jeżeli chodzi o produkcję wojenną Sowietów, która kurczy się w zbyt szybkim tempie.

Przypuszczać należy, że Rosjanie zrobią wszystko, ażeby przerzucić największą ilość *wykwalifikowanego robotnika* do okręgów poduralskich, ażeby tamtejszy ośrodek przemysłu wojennego zasilić materiałem ludzkim. Jest to plan słuszny i celowy. Oczywiście, nie wystarczą tylko ręce ludzkie—trzeba również posiadać i *surowce*. Sprawa surowców staje się poważna, albowiem okręg poduralski nie może bodaj wydobyć i dać wszystkiego.

Parcie na Moskwę osłabło za cenę wzmożonego nacisku na południe. Wydaje się, że przeniesienie *Timoszenki* na południowy odcinek frontu zaniepokoiło sztab niemiecki : obawia się on, że Timoszenko, ktory wykazał dotychczas najlepsze właściwości jako dowódca i jako strateg, może tchnąć nowego ducha w armię południową i zablokować skutecznie drogę na Przedkaukazie.

Nie wiemy jak się sprawiać będzie gen. Żukow. Posiada on zdaje się dobre kwalifikacje i ma za sobą napewno dobrze, bojowo nastrojoną ludność cywilną. Trudno przesądzać dzisiaj, jak długo trwać będzie obrona Moskwy. Jest to dla Rosji sprawa *prestiżu*, sprawa natury moralnej tak doniosła, że napewno nie zaniedbano niczego, ażeby obrona Moskwy stała się symbolem. Stalin przebywa bodaj dalej w obrębie Moskwy, rozumiejąc najwidoczniej, że nie powinien opuszczać Kremla przedwcześnie.

DALSZE LOSY KAMPANII

Jest faktem pocieszającym, że rząd sowiecki zachowuje spokój, i że ekwipowanie nowych jednostek postępuje dalej. Wydaje się, że armie sowieckie, nawet jeżeli nie będą to armie pierwszego niejako gatunku, będą *zdolne* do nowego wysiłku poza Moskwą, że obrona Kaukazu pomyślana jest planowo, /Rosjanie ściągają zupełnie słusznie swoje dywizje z Persji, zostawiając teren Anglikom/ i że Rosja przekonana jest, iż potrafi prowadzić walkę miesiącami.

Najważniejszym zadaniem obecnie jest *zablokowanie Kaukazu*, ażeby nie dopuścić do ataku niemieckiego od Przedkaukazia. Tym samym Rzesza będzie zmuszona albo do prób od strony morza, albo do wdarcia się *do Turcji*.

Zadania, jakie czekają armię niemiecką dalej nie są ani łatwe ani proste. Straty niemieckie nie są tak poważne, jak sugerują źródła sowieckie, albowiem dowodziło by to, że Hitler posiada już tylko 40 procent swojej armii, ale straty te rosnąć będą niewątpliwie na skutek zimy i surowych warunków w Rosji. Niemożnością będzie również odpowiednie zaopiekowanie się losem rannych; transport rannych z frontu nastręczać będzie co raz większe trudności.

Chociaż ogrom zadań ,jakie czekają armię niemiecką jest poważny, to jednakże nie widać na razie żadnego zjawiska, któreby mówiło, że armia ta jest *u kresu swoich sił*. Nie widać mianowicie opadnięcia w nasileniu rozmachu niemieckiego, luk w systemie transportu i dowozu, wyczerpywania się maszyn. Skoro pojawią się te czynniki, wówczas dopiero powiedzieć będziemy mogli, że armia niemiecka jest osłabiona.

Przypuszczać należy, że sztab sowiecki liczy na nadejście tego momentu. Sądzić wolno, że sztab ten jest przekonany, że *zdąży na czas*—i że bedzie gotów w odpowiedniej chwili. Nie wiemy, na jakich podstawach wspiera się optymizm sowiecki. Życzymy mu jak najlepiej, ale chwilami ulegamy obawom, ażeby Rosjanie nie przechytrzyli w odwlekaniu swojej akcji, nie liczyli nadmiernie na pojawienie się oznak załamywania się armii niemieckiej.

RUCHY W LIBII

Pogłoski, niesprawdzone dotychczas, mówią, że Niemcy wyładowali w Libii *dywizję pancerną* i że gotują się do skoku. Jeżeli by istotnie pogłoski te zawierały prawdę, to nasuwa się konieczność *uprzedzenia* tego rodzaju akcji niemieckiej.

Przypuszczać wolno, że Rzesza chciałaby trzymać dalej w szachu armię w Egipcie przez to, że groza niemiecka wisi nad Turcją i że Anglia nie wie w danej chwili czy przegrupować swoje armie twarzą ku Turcji i Persji, czy też raczej pójść na likwidację Libii. Zawieszenie to powinno się skończyć i życzyć by sobie trzeba, ażeby raz nareszcie usunięto niebezpieczny cień libijski.

U.S.A. MUSZĄ IŚĆ SZYBCIEJ NA PRZÓD

Stany Zjd. są w stanie fermentu. Zwolennicy szybkiej i energicznej akcji atakują twierdze izolacjonistów. Knox woła, że trzeba za wszelką cenę wzmóc produkcję i że wejście do wojny nie może być odkładane dalej. Bullitt zarzuca rządowi amerykańskiemu nadmierną *powolność* działania i twierdzi, że może być zapóźno, jeżeli Stany Zjd. będą grzebać się w tym tempie.

Jest oczywiste, że Stany Zjd. nie osiągnęły poziomu produkcji wojennej zamierzonej przed paru miesiącami, że zbyt wiele jeszcze istnieje *oporów w* stosunku do pełnego pogotowia kraju. Za wiele jeszcze *złudzeń*, za wiele haseł wygody, za wiele obawy, za wiele chęci wymigania się od odpowiedzialności, od której uchylić się już dzisiaj nie sposób.

Nie wiadomo doprawdy, dlaczego polityka amerykańska poszła na poniechanie szlaku na *Władywostok*, skoro Knox powiedział, że szlak na Archangielsk jest dłuższy, wjazd trudny ze względu na lody, a poza tym zdolność wyładunkowa Archangielska nie jest duża. Oczywiście, łodzie podwodne nie mają pola do popisu ze względu właśnie na lody i krę, ale zato bombowiec ma zadanie ułatwione, albowiem nie trudno wyśledzić statki i konwoje idące wąskimi przesmykami, wolnymi od lodu i kry. Decyzja amerykańska wygląda na *ustępstwo* w stosunku do Japonii.

JAPONIA DALEJ STRASZY

Japonia nie zamierza bynajmniej rzucić swojej polityki *szantażu* w stosunku do Ameryki i Anglii. Na razie nie jest ona gotowa, a sygnał z Berlina jeszcze *nie* nadszedł. Japonia wie jakie jest ryzyko, ale wątpić należy, czy z tej racji zawaha się. Trzeba być przygotowanym na najgorsze.

Dlatego wszelkie próby ugłaskania Japonii w danej chwili są bezcelowe i raczej szkodliwe.

Londyn, 26 października 1941.

Zbigniew Grabowski

DWIE DEPESZE N. WODZA DO LOTNIKÓW

22.X.41 r.

DYON MYŚLIWSKI NR. . .

Gorące życzenia żołnierskie z powodu pięknego czynu bojowego. Jestem pewny, że tak chlubnie rozpoczęta przez Was praca da Wam dalsze i Lotnictwu Polskiemu sukcesy.

/-/Sikorski.

25.X.41 r.

DOWÓDCA SKRZYDŁA MYŚLIWSKIEGO

Piękne zwycięstwo w dniu 24.X.41 r., dowodzonych przez Pana Majora Dyonów Myśliwskich NrNr. . . okryło nową sławą Polskie Lotnictwo Myśliwskie, którego hart ducha i wspaniałe wartości bojowe są już oddawna przedmiotem ogólnego podziwu.

Przesyłam Wam wyrazy uznania i życzenia szczęścia żołnierskiego.

/-/Sikorski.

DZIAŁALNOŚĆ BOJOWA JEDNEGO Z POLSKICH "SKRZYDEŁ" (WING), KTÓRE ODZNACZYŁO SIĘ SZCZEGÓLNIE W OSTATNICH WALKACH

Ilość zestrzelonych samolotów	Sierpień	Wrzesień	Październik (do 24)
pewnych	22	25	26
prawdopodobnych	6	5	7
uszkodzonych	11	4	5
Razem	39	34	38

Od czasu przybycia do Wielkiej Brytanii do 24 października br.
Ilość zestrzelonych samolotów nieprzyjacielskich:

pewnych	255
prawdopodobnych	55
uszkodzonych	30
Razem	340

Nad trumną Żołnierza Wolności



Herman Lieberman w mundurze oficera Legionów Polskich

Dla większości dzisiejszego pokolenia Polaków, którym los wyznaczył rolę czynnych bojowników w ponownej walce o wyzwolenie Ojczyzny, miejsce i zasługi zmarłego w ubiegły poniedziałek Hermana LIEBERMANA w odzyskaniu niepodległości Polski nie są znane w tym stopniu, na jaki to bezwzględnie zasługuje. Opinia ich o tym działaczu i polityku kształtowała się przede wszystkim pod wpływem mniej lub więcej znanych im przejawów Jego parlamentarno-politycznej działalności.

W działalności tej zresztą w ostatnim okresie życia zaszła blisko 10-letnia przerwa, w której głos Liebermana prawie już do szerszych kół społeczeństwa polskiego nie dochodził. Trybuny parlamentarnej, którą Lieberman z niezrównanym mistrzostwem posługiwał się przez blisko 25-lecie, pozbawiony on został w pamiętnym wrześniu 1930 roku, kiedy to wraz z innymi przywódcami politycznymi osadzono go w Brześciu. Ciężkie przejścia, których tam doznał, zadecydowały o zakończeniu tej karty działalności publicznej Liebermana.

Po opuszczeniu więzienia zasiadał wprawdzie jeszcze prawie 3 lata w Sejmie, nim w związku z "uprawomocnieniem się" wyroku sądowego opuścił Kraj, do którego nie miał już powrócić. Ale w tym Sejmie, który głosami karnej większości rządowej pokrył Brześć, nie był już w stanie przemawiać. . . Został tam na wyraźny rozkaz swej partii, jako żywy symbol walki o podeptane prawa obywatelskie i godność przedstawicielstwa narodowego.

Dopiero po katastrofie wrześniowej, w stworzonej na emigracji Radzie Narodowej R.P., jako zastępczym organie politycznej reprezentacji Polski Walczącej, wrócił Lieberman do służby na tym posterunku, który był jego powołaniem. Blisko dwuletnia ta działalność, w której ten parlamentarzysta z Bożej łaski ujawnił nie tylko w niczym przejściami niezmniejszone walory, ale, w której w obliczu nowych zadań wydobył z siebie najwyższe tony rozumu i serca—zamykała się w zbyt ciasnych granicach, aby mogła stanowić podstawę do wyrobienia sądu wśród tych, którzy z Hermanem Liebermanem bliżej się nie stykali.

Jak jednolity, bez żadnej niemal przesady można by powiedzieć: powszechny—jest sąd o roli Hermana Liebermana w starszym pokoleniu Polaków, bez różnicy poglądów i przynależności partyjno-politycznej, tego najlepiej dowodzi to krótkie, proste, lecz jakie prawdziwe i szczere zarazem ujęcie Jego sylwetki, które w kilku zaledwie słowach w liście kondolencyjnym, skierowanym do Prezesa Rady Ministrów sformułował długoletni Jego przeciwnik polityczny, były minister, Dr. Marian Seyda, kiedy złożył hołd pamięci: "*prawego człowieka, zasłużonego obywatela, gorącego patrioty i szermierza o wolność Polski*".

* * *

Prawie 72-letnie życie Hermana Liebermana /urodził się 3 stycznia 1870r. umarł 21 września 1941r./ upłynęło na ciężkiej i ofiarnej służbie publicznej, w której zawsze od samego zarania swej działalności kroczył w pierwszym szeregu. Gdyby się chciało zamknąć w jednym określeniu treść jego życia, to najlepiej oddałoby to jedno zawołanie: "*Żołnierz Wolności.*"

Żołnierski charakter miało bowiem to z górą 50-letnie bojowanie Liebermana, które zaczął od najwcześniejszej swej młodości już na ławie szkolnej o wolność narodu, kiedy organizował konspirację uczniowską, gotującą się do rozprawy powstańczej z zaborcami Ojczyzny. Naraziło Go to na pierwsze konflikty z władzami, które odtąd miały stać się prawie codziennym chlebem, nieodłącznie Jego działalności politycznej towarzyszącym.

W młodym akademiku, którego żądza wiedzy i gorączka czynu rzuciła na bruk Paryża, dojrzewa i krystalizuje się ideał polityczno-społeczny. Wraca do Kraju z pełnią świadomości, że ideał wolności narodowej trzeba nierozerwalnie złączyć z ideą wyzwolenia społecznego ludu polskiego. Jego socjalizm oparty jest od początku na połączeniu tych dwu ideałów. Pobyt Liebermana w Paryżu przypada na początki kariery politycznej wielkiego trybuna ludu francuskiego Jaurès'a, którego urokowi uległ i do którego pism i wystąpień nieraz się w późniejszej działalności odwoływał.

Osiadłszy jako młody adwokat w Przemyślu, rzuca się Lieberman w wir gorączkowej pracy politycznej i społecznej. Początki tej pracy przypadają na niezwykle ciekawy okres w życiu ówczesnej Galicji. Przechodzą przez nią na równi z całą monarchią Habsburgów podmuchy nowych prądów. O czynną rolę w życiu publicznym zaczyna walczyć młody ruch ludowy, a obok niego w miastach zjawia się socjalistyczny ruch robotniczy, który w Liebermanie znajdzie jednego z najlepszych organizatorów, najofiarniejszych pracowników a z czasem największego po Daszyńskim przywódcę.

W roku 1907, który dla ludów monarchii austriackiej oznacza kres długoletniej walki o równouprawnienie polityczne przez zaprowadzenie powszechnego głosowania, wyborcy przemyscy wysyłają Go do parlamentu. I odtąd dochowują mu niezmiennie wierności w wyborach, aż do czasu, kiedy w niepodległej już Polsce przyznane im teoretycznie prawo, stało się czczym, nic nie znaczącym dźwiękiem. . .

W parlamencie wiedeńskim zjawia się Lieberman poprzedzony opinią niebezpiecznego buntownika, wroga monarchii i dynastii. Dotarły tam echa głośnych jego przepraw z wpływowym w sferach dworskich generałem Galgotzy'm. Jedna z nich, o posmaku małej rewolucji według pojęć ówczesnego świata austriacko-wojskowego, zaprowadziła Liebermana przed kratki sądowe. Oskarżenie było ciężkie. Walka z przemożnym generałem niebezpieczna, zwłaszcza wobec zainteresowania, jakie procesowi temu okazały wiedeńskie sfery dworskie i wojskowe. Mimo to z sali sądowej Lieberman wyszedł zwolniony.

To pierwsze osobiste zetknięcie się Liebermana z sądownictwem w charakterze nie tylko obrońcy, ale i oskarżonego, wżarło się głęboko w Jego pamięć. Niejednokrotnie w późniejszych swych "rozterkach" z sądownictwem już polskim przypominał z najwyższym uznaniem tego przewodniczącego sądzącego Go Trybunału—Polaka, jego czynnego przeciwnika politycznego, który potrafił się oprzeć wysokiemu naciskowi i wydał wyrok zgodnie z sumieniem i przekonaniem. Wypadek ten przytaczał Lieberman wielokrotnie na dowód, jakie znakomite i wartościowe charaktery odrodzona Polska uzyskała w licznych kadrach sędziów "zaborczych," których dopiero dwukrotna "reorganizacja" naszego sądownictwa po 1926 roku zdołała w większości przetrzebić, a częściowo złamać. . .

Z górą 11-letnia działalność parlamentarna Liebermana w Wiedniu to obszerny i bogaty dział wytężonej pracy, która wybiega daleko poza krąg interesów Jego bezpośrednich wyborców, czy nawet partii. Przypada ona przecież na przedwiośnie wojny światowej, z której wyjść miała wolna i zjednoczona Polska. Związany od samego początku z pracami "Związku Strzeleckiego", do których pozyskał go przewodniczący lwowskiego ogniwa tej organizacji, młody inżynier, a dzisiejszy Wódz Naczelny, Władysław Sikorski—uważa się na terenie parlamentarnym za rzecznika tych dążeń, którym służyły "Związki Strzeleckie" i "Polskie Drużyny Strzeleckie", a następnie powstały w 1912 r. w oparciu o nie "Polski Skarb wojskowy" i wreszcie ich "nadbudówka" polityczna: "Komisja Tymczasowa Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych".

Zagadnienie zbliżającej się wojny, jej charakteru i celów, z jakimi w nią wejdzie monarchia naddunajska—oto nić przewodnia licznych mów parlamentarnych Liebermana z tego okresu. Stawiał w nich mocno i niezachwianie postulaty polskie. Głosił—ku zgorszeniu i przerażeniu wielu, nie tylko czystej krwi "Austriaków"—że Austria wojnę tę przegra i rozpadnie się, jeżeli w walce z Rosją nie postawi jasno, szczerze i w całej pełni sprawy odbudowy wolnej i niepodległej Polski.

Wnikliwy obrońca wszystkich "maluczkich" i krzywdzonych szczególnie czujnie badał warunki życia szarej rzeszy rekrutów w armii austriacko-węgierskiej. Warunki te, jak wiadomo, zwłaszcza dla żołnierzy narodów słowiańskich były niezmiernie ciężkie. Lieberman w licznych interpelacjach i przemówieniach ostro piętnował te stosunki, które sprawiały, że służba w C. i K. armii, zwłaszcza dla żołnierzy polskich, bardzo często przypominała katorgę. Jeżeli w ostatnich latach przed wojną 1914 r. i podczas jej samej dużo się w tych stosunkach zmieniło, jeżeli traktowanie żołnierzy było bardzo ludzkie, a niektóre najbardziej barbarzyńskie kary /jak np. t.zw. "słupka"/ zniesiono, to duża jest w tym część zasługi Liebermana.

Wierny zasadzie zgodności między głoszonymi hasłami, a czynami—zaciąga się Lieberman po wybuchu wojny do Legionów Polskich. Służy najpierw na froncie, po czym przechodzi do Komendy Legionów, skąd zostaje jednakże usunięty, gdyż i w mundurze oficera legionowego, zbyt mocno podkreśla wierność dawniej głoszonym hasłom i ideałom. Wraca wówczas do parlamentu, nigdy odtąd nie zrywając ideowej łączności ze sprawą Wojska Polskiego.

Ostatnim w tych czasach, pełnym rozgłosu aktem łączności z tą sprawą jest Jego obrona Legionistów przed sądem wojennym w Marmarosz-Sziget, którym groziła za zdradę stanu kara śmierci. Obrona ta obfitowała w posunięcia, na które zdobyć się mógł tylko obrońca tej miary i tego stopnia odwagi, co Lieberman.

Przychodzi upadek Austrii. Przed Liebermanem otwiera się nowe pole pracy w wymarzonej przezeń Ojczyźnie. W drodze do niej stoczyć jeszcze musi walkę o przynależność do Polski swego ukochanego Przemyśla i Wschodniej Małopolski. W Sejmie Ustawodawczym wybija się od razu jako jeden z najlepszych znawców zagadnień polityki zagranicznej oraz spraw wojska, przede wszystkim zaś jako jeden z najczynniejszych członków Komisji Konstytucyjnej, która opracowała projekt konstytucji 17 marca 1921 r. Mało na ogół np. znaną jest rzeczą, że Jego to w dużym stopniu jest zasługą, iż podniosły wstęp do Ustawy Konstytucyjnej, zaczynający się od słów: "W imię Boga Wszechmogącego," którego razem z posłem ś.p. ks. Lutosławskim był współautorem, uzyskał na plenum i w komisji jednomyślność.

Od pracy w Sejmie ustawodawczym odrywały Go często czynności polityczne, które mu powierzali zagranicą to Naczelnik Państwa Piłsudski, to ówcześni prezydenci ministrów, Paderewski i Witos. Obaj ci mężowie stanu wielce cenili rozum, doświadczenie i patriotyzm Liebermana. Paderewski nalegał nań, aby przyjął stanowisko przedstawiciela dyplomatycznego Polski w Waszyngtonie. Witos powierzył mu ważną misję do Rzymu i Londynu w związku ze sprawą Górnego Śląska. Za oddane w trakcie tych misji usługi odmawiał przyjęcia jakiegokolwiek stanowiska, czy wyróżnienia. Jedyne odznaczenie, które w ogóle przyjął i które wysoce sobie cenił, to "Krzyż Walecznych."

W drugim Sejmie miał Lieberman zaznać sporo goryczy i wielu ciężkich zawodów, które stały się później przyczyną Jego emigracyjnej tułaczki. Człowiek, świecący całe życie przykładem wierności dla Idei i zasad z niej wypływających, nie znał wahania, gdy trzeba było wybierać między przywiązaniem do jednostki, a wiernością sztandarowi.

W głośnej sprawie organizacji najwyższych władz wojskowych, która w latach 1924-26 poruszała parlament, koła polityczne i wojskowe, przeciwstawił się, jak na prawego demokratę i republikanina przystało, pomysłom pewnego rodzaju nawrotu w Polsce do tradycji udzielnej, w rzeczywistości niekontrolowanej władzy wielkohetmańskiej. Stanął w tej sprawie po stronie projektu ówczesnego Ministra Spraw Wojskowych Gen. Sikorskiego. Naraziło Go to na konflikt. Konflikt ten pogłębił się jeszcze bardziej po przewrocie majowym, którego Lieberman wbrew oficjalnemu stanowisku większości przyjaciół partyjnych, był zdecydowanym przeciwnikiem.



Herman Lieberman wśród żołnierzy polskich w Szkocji.

Orientował się doskonale, gdzie Go ten konflikt może zaprowadzić. Nie znał jednak słabości, nie rozumiał oszczędzania siebie, gdy w grze były sprawy decydujące o obliczu ideowo-politycznym Państwa, o jego przyszłości. Podejmując się w 1929 roku z ramienia trzeciego Sejmu oskarżenia w głośnym procesie o przekroczenia budżetowe przed Trybunałem Stanu, wiedział, że w warunkach ówczesnej "rzeczywistej rzeczywistości" rzuca wyzwanie, w którym argument innej siły niż moralnej, nie po Jego jest stronie. Ale wyzwanie to podjął i był w tym w zgodzie z treścią całego swego życia.

Odpowiedzią na to był Brześć, a jeszcze bardziej ten . . . incydent, który go spotkał w drodze do Brześcia z rąk przedstawicieli organów odpowiedzialnych za bezpieczeństwo obywateli. Byłem w tym najcięższym okresie Jego życia przez kilka tygodni najbliższym Mu człowiekiem. Znałem Go dawniej. Pracowałem z Nim blisko przez szereg lat w Sejmie, gdzie nauczyłem się Go cenić i szanować. Poznałem Go jednak dobrze i mam wrażenie do głębi dopiero podczas tych ciężkich dni. . . .

Wyszedł z więzienia i procesu brzeskiego niezłamany i mogę powiedzieć: jeszcze większy! Zdarzało się nieraz słyszeć pochodzące od niechętnych Mu głosy, że Sprawa Brzeska przesłoniła Mu całość horyzontu polskiego. Jest to nieprawda. Jak najbardziej obce Mu były uczucia zemsty, czuł pogardę do . . . porachunków. Jeżeli nawet i coś z tego w Nim kiedyś tkwiło, to wszystko to spłynęło bezpowrotnie pod wrażeniem strasznej katastrofy, jaką była klęska września 1939 roku.

Od niej myślał tylko o dwu rzeczach. Jak wyzwolić utraconą Ojczyznę i jak Ją odzyskaną urządzić i zabezpieczyć, by nie popadła w dawne błędy, by drogi Jej rozwoju były pewne, trwałe, niczym niezamącone. Z myślą o tym drugim zadaniu uczynił u schyłku swego życia ofiarę, ulegając po długich wahaniach i walce z sobą, naleganiom i prośbom przyjaciół i przyjmując zaofiarowane Mu w Rządzie Rzeczypospolitej stanowisko Ministra Sprawiedliwości.

Nie starczyło już Hermanowi Liebermanowi czasu na to, by nie tylko wcielić w życie program, który sobie wytknął, jako organizator porządku prawnego w Nowej Polsce. Nie zdążył Go nawet w ogólnym zarysie i planach szczegółowych, które zresztą posiadał, czynnikom zainteresowanym przedstawić. Gdyby mógł był to uczynić, i gdyby wiadomość o tym była dotarła do szerszych kół opinii polskiej, okazało by się, jak wielka jest ta strata, którą przez Jego śmierć poniosła nie tylko najbliższa Mu partia polityczna, nie tylko liczni przyjaciele z poza jej szeregów, ale i ta Nowa, z mąk, cierpień i bohaterstwa całego Narodu rodząca się Polska, o którą Herman Lieberman całe życie walczył, dla której cierpiał i z myślą o której padł na posterunku.

Karol Popiel



Fotografia z pobytu przedstawicieli stronnictw wśród wojska: Herman Lieberman stoi po lewej ręce gen. Wł. Sikorskiego.

Dowódca Polskich Sił Zbrojnych w Z.S.S.R.



Dowódca Polskich Sił Zbrojnych w Z.S.S.R. gen. Wł. Anders (u dołu pośrodku) w otoczeniu wyższych wojskowych

Władysław Anders urodził się dnia 11 sierpnia 1892 r. w m. Błonie pow. kutnowskiego, woj. warszawskiego. Ojciec jego zarządzał majątkiem Krośniewice. Szkołę realną ukończył w Warszawie, poczym odbył służbę wojskową jako jednoroczny w pułku dragonów w Kownie. W roku 1911 Władysław Anders wstąpił na wydział mechaniczny Politechniki w Rydze.

Wojna światowa porywa młodego studenta w swoje wartkie nurty i na całe życie ma wpływ decydujący. W roku 1914, w pierwszym dniu wojny, Władysław Anders powołany jest do wojska rosyjskiego jako chorąży rezerwy. Z 3-im pułkiem dragonów rosyjskich uczestniczy w kampanii wschodnio-pruskiej, wykazując od razu cechy prawdziwego żołnierza i dowódcy. W błotach poleskich zabrał do niewoli sztab grupy niemieckiej z generałem, jedynym, jaki podczas wojny dostał się w ręce Rosjan.

Odznaczenia i . . . rany—sypią się na młodego oficera. Szwadron jego był znany z tego w kawalerii rosyjskiej, że w okresie 1914—1916 bił się w różnych okazjach na całej długości frontu, w pewnej chwili prawym skrzydłem dotykając Bałtyku, kiedy indziej zaś sięgając skrzydłem lewym wybrzeża Morza Czarnego.

W roku 1916 jest przyjęty na skrócony kurs wojenny do Szkoły Sztabu Generalnego. Kończy tę szkołę w roku 1917, na krótko przed rewolucją marcową. Po powrocie do szeregów jest przez pewien czas w Sztabie Gen. Michaelisa, następnie zaś pełni obowiązki Szefa Sztabu rosyjskiej 7-ej Dywizji.

Nareszcie rok 1917 wyzwala polskiego żołnierza w Rosji z obcych szeregów i pozwala mu na tworzenie jednostek własnych. Rotmistrz Władysław Anders zostaje Dowódcą VI-ego Szwadronu, 1-ego Pułku Ułanów Krechowieckich. Słynny ten pułk wchodzi w skład 1-ego Korpusu Wschodniego, dowodzonego przez gen. Dowbora Muśnickiego. W marszu koncentrycznym na Bobrujsk, Szwadron VI-ty rotmistrza Andersa idzie na czele Pułku.

Po opanowaniu przez Polski Korpus Białej Rusi, rotmistrz Anders zostaje Szefem Sztabu 1-ej Dywizji Strzelców 1-ego Korpusu. Jest to już weteran wojny. Ranny był trzy razy, nosi wszystkie bojowe odznaczenia rosyjskie, łącznie z oficerskim orderem św. Jerzego.

W związku z demobilizacją Korpusu w maju 1918 r. Władysław Anders, zgodnie z otrzymaną instrukcją, wstępuje do szeregów Polskiej Siły Zbrojnej w Warszawie, gdzie prowadzi prace sztabowe. Po rozbrojeniu Niemców, udaje się z gen. Dowbor-Muśnickim do Poznania, jako Szef Sztabu Armii Wielkopolskiej. Tam obejmuje dowództwo 1-ego Pułku Ułanów Wielkopolskich, czyli późniejszego 15-ego Pułku Ułanów Wielkopolskich.

Na czele tego pułku uczestniczy w kampaniach 1919-1920. Jest ciężko ranny, otrzymuje krzyż Virtuti Militari i—czterokrotnie—Krzyż Walecznych, a dowodzony przez niego pułk otrzymuje na sztandarze wstęgę Virtuti Militari. Płk. Anders niejednokrotnie dowodzi akcją bojową, mając do dyspozycji nie tylko własny pułk, lecz i większe zgrupowania oddziałów wielkopolskich.

Po tak wszechstronnej praktyce wojennej wkrótce po zawarciu pokoju z Rosją, Władysław Anders studiuje w Wyższej Szkole Wojennej w Paryżu. Po ukończeniu jej i odbyciu *stage*'ów w różnych broniach, pracuje w biurze Ścisłej Rady Wojennej, a później jest pierwszym oficerem Sztabu Gen. Insp. Kaw. gen. Rozwadowskiego. Podczas zamachu majowego 1926 jest Szefem Sztabu Wojska Polskiego, staje po stronie rządu, dzieli los wiernych mu wojsk i w walkach tych jest ranny.

Po rezygnacji Prezydenta i Rządu i po otrzymaniu rozkazu zaprzestania walki i normalizacji stosunków, był internowany w Wilanowie, a następnie leczył się z rany. Jesienią obejmuje dowództwo 11-ej Samodzielnej Brygady Kawalerii w Równym, potem zaś kolejno w Krzemieńcu, Brodach i Baranowiczach. W okresie dowodzenia Brygadą Samodzielną podtrzymuje ścisłe związki z życiem młodzieży, uczestniczy w wielu zawodach jeździeckich, zdobywa w pewnej chwili jeździeckie wice-mistrzostwo w Armii i jest jednym z głównych promotorów i znawców konnego sportu, posiadając w tej dziedzinie, podobnie jak w organizacji wojska i w sztuce wojennej—ogromny autorytet.

Na początku 1939 roku złożył podanie o przeniesienie w stan spoczynku, dając wyraz protestowi przeciwko ówczesnej polityce i praktykom stosowanym w życiu Armii. Dymisja ta nie była przyjęta. Dnia 23 marca zmobilizowana brygada Baranowicka przeszła do rejonu Sierpca, a następnie, na wniosek gen. Andersa, w rejon Lidzbarka, organizując w miesiącu sierpniu jego obronę. W skład brygady wchodzą 25, 26 i 27-y pułki ułanów, 4-ty pułk strzelców konnych, 9-ty D.A.K. i inne oddziały.

We wrześniu roku 1939 brygada gen. Andersa jest jedną z najbardziej czynnych i szczęśliwych w boju jednostek. Nie jest ona ani razu rozbita, choć trwa w nieprzerwanych, twardych walkach poczynając od Lidzbarka aż po Sambor w Małopolsce Wschodniej. Walki jej trwają równo cztery tygodnie.

Początkowo brygada gen. Andersa stacza walki na pograniczu Prus i wspomaga 29.D.P. wspaniale broniącą się pod Mławą i odciąża ją. Już dnia 4 września gen. Anders zostaje dowódcą grupy, składającej się z Brygady Baranowickiej, 20.D.P. i 8.D.P., jednak dywizje te w chwili oddania ich pod dowództwo gen. Andersa były w pełnym odwrocie. Gen. Anders bił się pod Mławą, organizował obronę Płocka, przeszedł przez puszczę Kampinowską w rejon Otwocka, bronił odcinka Wisły na południe od Warszawy. Nowo utworzona grupa operacyjna stoczyła wielką bitwę pod Mińskiem Mazowieckim, gdzie Niemcy ponieśli szczególnie wielkie straty, przebiła się następnie na Garwolin, biła się w rejonie Lublina i Rejowca.

Przez cały ten czas, a szczególnie w Lubelszczyźnie, Brygada stanowiąca jądro grupy była atakowana przez setki samolotów niemieckich. Ale Brygada szła, uwalniając setki jeńców polskich, zagarniając do niewoli tłumy Niemców, przebijając się przez pierścienie nieprzyjaciela szarżami, w których uczestniczyło po parę pułków.

Wojna była przegrana. Brygada zgodnie z rozkazami przebijała się na Węgry. Rozbite przez gen. Andersa oddziały niemieckie prosiły już tylko o zwolnienie prowadzonych przez niego jeńców niemieckich. Oświadczono gen. Andersowi, że Niemcy nie będą już przeszkadzali jego oddziałom w marszu na południe.

Epos kawalerii Andersa miałby, być może, dalszy sławny ciąg na francuskich polach bitewnych, lub gdzie indziej na zachodzie lub południu, gdyby nie to, że o marszu Andersa uprzedzona została sowiecka armia okupacyjna w Małopolsce Wschodniej. Była to siła potężna. Gen. Anders starł się z nią. Kompletny brak amunicji przerwał te działania. Oddziały otrzymały rozkaz przedzierania się grupkami przez pierścień wojsk nieprzyjaciela.

Z jedną z takich grupek kierował się na Węgry gen. Anders. Ranny już poprzednio pod Mławą, został teraz jeszcze dwa razy ranny—po raz siódmy i ósmy w życiu. Granica nie była już daleko, ale upływ krwi nie pozwalał na dalszy marsz. Generał rozkazał, aby go pozostawiono. Jeden z oficerów i ordynans odstawili rannego do wojskowych władz sowieckich, które przewiozły go do szpitala w Stryju, a później do Lwowa.

Nie ozdrowiawszy należycie, zaopatrzony w pozwolenie wyjazdu w kierunku Tatr, gen. Anders został—aresztowany w Przemyślu i odwieziony do więzienia we Lwowie. W końcu lutego 1941 r. wywieziony był do Moskwy. Był więziony przez 20 miesięcy, nic nie wiedząc o świecie, pozbawiony niezbędnej kuracji lekarskiej, samotny w swej lodowatej celi we Lwowie, a później na Łubiance.

Dnia 4 sierpnia, czyli piątego dnia po podpisaniu umowy polsko-rosyjskiej, gen. Anders wychodził z więzienia o kuli. Olbrzymie zadanie skupienia, zorganizowania i poprowadzenia setek tysięcy Polaków na terenie Z.S.S.R. czekało na generała, który tak wiele walczył, tyle wycierpiał i tak się skrwawił. Ale żelazne zdrowie zwyciężyło.

Żołnierska jest rodzina Andersów. Dwóch podpułkowników, braci generała, przebywa w niewoli niemieckiej, trzeci brat jest oficerem w Korpusie "Szkockim." Żona i dzieci generała przeżyły grozę wojenną i jej udręki, pasierb zginął we wrześniu 1939 r. jako oficer 15 pułku Ułanów Wielkopolskich.

Żołnierska jest natura generała. W woli swojej i w wielkiej pracy wojskowo-organizacyjnej na terenie Z.S.S.R. odnalazł źródło energii. Znajomość sztuki wojennej, dokładne zrozumienie terenu i stosunków miejscowych oraz powszechny w Wojsku Polskim mir u żołnierzy wszystkich stopni—sprzyjają dziełu zapoczątkowanemu przez niego na wschód od Polski.

—Dojdziemy do niej może nie wszyscy, lecz dojdziemy napewno—mówi swym żołnierzom.

Stanisław Strumph-Wojtkiewicz



Pierwszy przegląd dokonany przez gen. Andersa.

List z Rosji

Co do mnie, to jestem jeszcze osłabiony tym dwuletnim prawie siedzeniem, tym bardziej, że przechodzę obecnie lekką dezynterię (jak wielu z nas), gdyż nasze żołądki odwykły od jakiegotakiego normalnego jedzenia. Schudłem bardzo, gdyż straciłem z górą 25 kilo, dwukrotnie ciężko się trułem i z tego powodu chorowałem. W 39 r. byłem kontuzjowany w nogi nad Wartą. Prawą, w której miałem pękniętą chrząstkę w kolanie, zupełnie się zaleczyła, natomiast lewe biodro, w którym niewiadomo co jest (trzeba by zrentgenizować, a Pani rozumie co to tu za ciężka operacja!) jeszcze mi ciągle dokucza. Na ogół jednak trzymam się może lepiej od wielu innych. Tylko siwy jestem, jak gołąbek. . .

Obecnie przebywam już na miejscu mojego nowego służbowego przydziału, o miejscu którego Panią w Londynie pewno będą mogli poinformować. Roboty moc, ale Pani sobie wyobrazić nie może jaką rozkoszą jest praca po dwuletnim nieróbstwie i moralnej bezczynności.

Gen. Anders jeszcze blado wygląda i chodzi o lasce, ale przypuszczam, że to już wszystko prędko minie. Byliśmy wszyscy nadzwyczaj zadowoleni z jego naznaczenia, a szczególnie już ja, należąc już w 39 r. do najbliższych jego współtowarzyszów broni.

Choć dużo w życiu widziałem, jednakże tej sceny, gdy 25. VIII przybył do naszego obozu pod Wołogdą, aby obwieścić nam koniec naszej niewoli—nie jestem w stanie opisać nawet w przybliżeniu . . . Jeszcze dziś, gdy piszę te słowa łzy gromadzą mi się w oczach na wspomnienie tej chwili. Ten nastrój świąteczny, uroczysty, wśród tych drutów kolczastych, wśród których żyło się, a raczej wegetowało, tyle miesięcy, to nagłe pojawienie się naszego dowódcy armii w tym naszym czyśćcu, wywołało jakąś świętą ekstazę—to był obrazek żywcem wyjęty z "Anhellego"! A potem ten szalony entuzjazm, że jesteśmy znów wolni i że będziemy mogli znów walczyć przeciwko naszemu odwiecznemu wrogowi aż do zwycięskiego końca! . . .

Jerzy Grobicki



Medalik wykonany ręcznie przez jednego z jeńców polskich w Rosji. Nosi on napis: "25.IX.1939 r. Z ciężkich dni życia niewoli w tajgach na dalekiej północy, wspólnie spędzonych, współtowarzyszowi niedoli Kazikowi B. Odrodzenie Armii Polskiej na ziem. sow. 27.VIII.1941 r."

Wojsko Polskie na Bliskim Wschodzie



rys. Marian Walentynowicz

I.

—Pozostaje panu tylko droga morska. 30 maja wyjeżdża pasażerski statek rumuński do Aleksandrii przez Pireus. W Pireusie dostanie pan połączenie do Marsylii.

Tak rozpocząłem w roku 1940, w chwili, kiedy padała Francja, moją przypadkową podróż z Rumunii na Bliski Wschód.

W Konstancy, w biurach konsulatu polskiego zastałem pełne przygotowania do wysyłki większego transportu naszych żołnierzy do Syrii. W biurze okrętowym rumuńskim sprzedano mi bilet do Marsylii z tym, że w Pireusie przesiądę się na statek grecki, który w parę godzin po naszym przyjeździe odchodzi do Marsylii.

Doskonale się składa, Rumuni to usłużny naród, za niedużą dodatkową opłatą wszystko da się z nimi zrobić—myślałem, wychodząc z biura policji po załatwieniu ostatnich formalności wyjazdowych.

"Chluba Rumunii," niedawno zresztą spuszczona na morze w dokach duńskich, dowiozła mnie i liczne rzesze moich rodaków w doskonałych warunkach do Pireusu. Tu spotkało mnie smutne rozczarowanie, albowiem nie zjawił się ajent rumuńskiego towarzystwa, który miał mnie przeładować na statek grecki, ani też, jak mnie poinformowano, żaden statek nie zamierzał opuszczać pięknego portu.

Znalazłem się na gościnnym brzegu greckim z bagażem dyplomatycznym, z biletem do Marsylii i z utrwaloną już opinią o uczciwości rumuńskiej. Spodziewano się lada chwila przystąpienia Włochów do wojny, wobec czego wstrzymano żeglugę, prowadzącą przez pełne wojennego hałasu wody włoskie.

Rad nierad, ruszyłem po pomoc do niedalekich Aten. Nad gmachem Poselstwa Polskiego dalej zwisała flaga polska. W korytarzach kręciło się wielu interesantów, w biurach duży ruch. Czekając na przybycie attaché wojskowego patrzyłem przez otwarte okno na przepiękną panoramę miasta i Akropol bielejący kolumnami na tle czystego lazuru nieba.

Ateny spełniały rolę wielkiej stacji przesyłkowej dla naszych wojsk, dążących rozmaitymi sposobami i drogami z Węgier, Jugosławii, Rumunii i Bułgarii. Stąd odchodzili zbiorowymi transportami morskimi do Francji albo do Syrii. Organizacja działała dość sprawnie, biorąc pod uwagę warunki w jakich musiano pracować.

Włócząc się po Atenach na każdym kroku napotykałem "turystów" polskich. Ich miny, ubranie i zachowanie zdradzało aż nadto wyraźnie kim są. Jedni ściągnęli tu z Rumunii, inni z Węgier poprzez Jugosławię. Dobrze zorganizowana droga dla zbiorowych transportów morskich ze Splitu poprzez Adriatyk została przerwana. Pchało się więc bractwo do Aten, w nadziei, że stąd łatwiej dostanie się do Francji.

W między czasie nadchodziły co raz gorsze wiadomości z frontu francuskiego. Stawało się co raz jaśniejsze, że armia francuska, w której tak wiele pokładaliśmy nadziei, zawodzi. Postanowiłem za wszelką cenę dostać się jak najszybciej z powrotem do Francji, nie czekając na zapowiadane wyjaśnienie sytuacji. Ale nie było to takie łatwe, jakby się pozornie zdawało.

Funkcje attaché pełnił jeden z naszych starszych oficerów lotnictwa. Umówiłem się z nim, że na drugi dzień pójdziemy do francuskiego attaché morskiego, aby umożliwił mi dalszą podróż do Francji. Po przedstawieniu się i wyłuszczeniu sprawy szybko zapadła decyzja, że bezzwłocznie, jeszcze tego popołudnia, pojadę statkiem "Teofil Gauthier," który musi odkotwiczyć z obawy, że Włochy lada chwila wypowiedzą wojnę.

Poganiałem taksiarza na szerokiej autostradzie, łączącej Ateny z Pireusem do szybszej jazdy. Nie wiele to pomogło, bo stary gruchot nawet z góry i z wiatrem nie mógł przyśpieszyć szybkości.

Sadowiłem się w motorówce po załatwieniu formalności paszportowo-celnych, gdy zawezwano mnie do telefonu biura okrętowego. Pobiegłem, nie mogąc się domyślić poco mnie wołają i opóźniają. Komunikowano mi, że "monsieur attaché naval" zmienił decyzję wobec otrzymanych dyspozycji radiowych z Francji. "Teofil Gauthier" dostał inne zadanie, nie mogę nim jechać.

—Cóż mam zatem robić?

—Najlepiej, komandor radzi—mówi mi głos z Aten—niech pan ładuje się na polski statek "Warszawa," który otrzymał rozkaz natychmiastowego wyjazdu z transportem żołnierzy polskich do Bejrutu.

Rzuciłem słuchawkę ze złością. Gdzie Rzym a gdzie Krym? Powinienem jechać na zachód, mam ważną pocztę dyplomatyczną, wiem, że bardzo zależało na jak najszybszym doręczeniu jej naszym władzom w Paryżu, a tu każą mi jechać na wschód.

Klnę na czym świat stoi, "rugam" dosadnie jakiegoś natrętnego przewodnika, który mi głowę zawraca Peryklesem i starożytnością grecką, ale to nie przeszkadza, że zostałem na lodzie, albo jak kto woli, na brzegu śmierdzącego basenu portowego Pireusu z kupą bagażu i nieodstępną bandą gawiedzi portowej, oferującej mi krzykliwie wszelakiego rodzaju usługi.

Nie ma co, dwóch umorusanych wyrostków taszczy mnie wraz z bagażem do nabrzeża, gdzie stoi "Warszawa." Ładuję się na pokład, szukam kapitana. Jest tylko oficer służbowy, kapitan i reszta oficerów w Atenach, ale niedawno przysłali zawiadomienie, że wrócą popołudniu, i że należy się szykować do niespodziewanego wyjazdu.

Rozlokowałem się w kabinie i czekam na kapitana. W niedługi czas przypływa z portu. Miło mi go poznać, boć to rodzony brat mojego przyjaciela, świetnego powieściopisarza lotniczego. Za chwilę mamy opuścić gościnną Grecję, która nam dała tyle dowodów braterskiego współczucia i pomocy w naszych zamierzeniach.

Rozpoczyna się ładowanie nadjeżdżających z Aten Polaków. Dziwię się, gdzie się to wszystko pomieści, na małym statku towarowym. Pomimo zdziwienia załadowali sprawnie około 550 chłopa.

Imponuje mi organizacja transportu. Oddział składający się z 500 ludzi ma swego dowódcę ze sztabem. Całość dzieli się na kilka kompanii, te zaś na plutony i drużyny. Transport składa się z żołnierzy różnych rodzajów broni i z różnych obozów internowania. Ludzie ci są dorywczo zebrani i wielu z nich widzi się po raz pierwszy w życiu. Nie przeszkadza to w bardzo szybkim zgraniu się całości. Na statku panuje wzorowy porządek wojskowy, funkcjonuje sprężyście służba inspekcyjna, intendencka, sanitarna i t.d. Mamy raptem kilka dni podróży, a jednak już zorganizowano wydawnictwo gazetki okrętowej, rozdano tematy do pogadanek i odczytów, zorganizowano chór, wyłowiono artystów i przystąpiono do organizacji widowiska żołnierskiego.

Przygodny kapelan kłopoce się nad zorganizowaniem Mszy św., pilnując codziennej, zbiorowej modlitwy porannej i wieczornej. Jesteśmy u siebie w domu, płyniemy pod flagą polską. Może dzięki temu odbywa się wszystko sprawnie, ochoczo i z uśmiechem.

Morze jest spokojne. Na tym dość ruchliwym szlaku nie spotykamy żadnych okrętów. Nie widzimy angielskiej floty wojennej, ale czujemy jej obecność. Kiedyś w nocy, jakiś reflektor sprawdza naszą narodowość; kiedy indziej, migacz z ledwo widocznego torpedowca rozmawia świetlnymi znakami Morse'a, a potem znów, niespodzianie, peryskop łodzi podwodnej długo zdaje się studiował napis "Warszawa."

Przepływamy szczęśliwie Morze Egejskie i kierujemy się na wschód ku Azji Mniejszej. Przypływamy do Bejrutu w piękny, słoneczny poranek czerwcowy. Stajemy na redzie przed portem, czekając na załatwienie formalności kontrolnych. Port pełny jest marynarki francuskiej. W wewnętrznym porcie brzuszyska łodzi podwodnych, wynurzonych nad wodą pstrzą się różnokolorowymi barwami marynarskiej bielizny, suszącej się na słońcu. Dwa małe krażowniki stoją przed portem, kilka kontrtorpedowców, rozrzuconych niesymetrycznie kołysze się za nimi. W porcie masa wielkich transportowców zajmuje wszystkie nabrzeża.

Zjawia się kilku oficerów w mundurach polskich w towarzystwie francuskich władz portowych. Sprawdzanie listy pasażerów nie zabiera zbyt wiele czasu. Wchodzimy do portu i lokujemy się przy falochronie. W kilku wielkich barkach całe towarzystwo zostaje przetransportowane na brzeg. Samochodami ciężarowymi przewożą następnie żołnierzy do obozu polskiego, leżącego parę kilometrów od miasta. Żegnam się z towarzyszami podróży i w towarzystwie jednego z oficerów jadę do konsulatu polskiego.

Składam w Konsulacie mój bagaż dyplomatyczny, zbieram potrzebne informacje i jadę do sztabu Armii Gen. Weyganda, aby zapewnić sobie jak najszybszą dalszą podróż do Francji. Gen. Weyganda nie ma już w Syrii, został odwołany do Francji i mianowany wodzem naczelnym. Jego miejsce objął gen. Mittelhauser, lotaryńczyk, chlubnie zapisany w kartotekach armii francuskiej za działalność bojową w poprzedniej wojnie światowej.

Sztab mieści się w ogromnym pałacu, zbudowanym w stylu wschodnim i nosi nazwę "Wielkiego Seraju." Mieszczą się w nim także biura misji polsko-francuskiej, załatwiającej wszystkie sprawy wojska polskiego na Wschodzie.

Po przedstawieniu się i wytłumaczeniu sprawy szef misji zajął się gorliwie moją osobą.

—Obecnie jest przerwa obiadowa, więc niech pan pojedzie do hotelu i rozlokuje się, a popołudniu proszę przyjść, to pójdziemy do szefa sztabu, aby dał panu miejsce w samolocie, który odlatuje do Francji.

Pod wieczór, przynosi do hotelu goniec francuski "Note de service" uprawniającą do zajęcia miejsca w samolocie, który odlatuje jutro o godz. 6-ej rano z lotniska w Damaszku. Samochód służbowy przyjedzie po mnie odpowiednio wcześniej, aby mnie tam odwieść.

Wszystko załatwione, mam więc czas, aby przejść się po mieście i przyjrzeć się "Bliskiemu Wschodowi," znanemu dotychczas z powieści. Wycieczka po mieście daje dużo potu i mało wrażeń. Zbyt to wszystko zeuropeizowane, aby mogło zadowolić bujną wyobraźnię osobników, wyrabiających sobie pojęcie o krajach "Allaha" z lektury w rodzaju "Tajemnice Wschodu".

W jakimś lokalu, żywcem przeniesionym z paryskiego Montmartre'u wypijam nieprawdopodobne ilości płynów mrożonych. Nie wiele to pomaga, ale daje złudzenie chwilowego chłodu. W pewnym momencie wpada do lokalu policjant, każe gasić światło i opróżnić budę. Gwałt się robi, goście protestują. Dlaczego?

—Włochy wypowiedziały wojnę Francji.—Spodziewano się tego, więc nie wywołało to zbyt wielkiego wrażenia.

Pobiegłem do hotelu, czułem, że to popsuje mi szyki. Jakoż istotnie, w niedługi czas potem wzywają mnie do telefonu. Oficer ze sztabu zawiadamia mnie, iż odlot samolotu został wstrzymany. Kazano czekać, obiecano na czas zawiadomić.

Czekanie okazało się mało skuteczne, bo ani za kilka dni, ani za kilkanaście, już nie było poco lecieć do Francji. Wypadki następowały w błyskawicznym tempie, ale nie uprzedzajmy ich.

Na drugi dzień zawiadomił mnie pokojowy, że do hotelu przyjechał dowódca brygady polskiej i pragnie się ze mną zobaczyć. Zameldowałem się bezzwłocznie u niego, jako najstarszego oficera i dowódcy Wojsk Polskich na Wschodzie. Wypowiedzenie wojny przez Włochów i sytuacja wojskowa zmusiły go do przyjazdu do sztabu francuskiego z Homs, miejsca postoju brygady, położonego około 200 km. na północ od Bejrutu.

Z ust pułkownika dowiedziałem się, jak się przedstawia organizacja wojska polskiego na Wschodzie, o jego sile, uzbrojeniu i t.d. Naczelny Wódz w porozumieniu z Francuzami postanowił stworzyć pewne jednostki wojska polskiego na wschodnim teatrze operacyjnym w ramach armii gen. Weyganda. Decyzja ta powstała jeszcze wtedy, gdy panował spokój a armia francuska schowana za linią Maginota, w blokadzie i rewolucji niemieckiej chciała widzieć swe zwycięstwo. Dużo wtedy przywiązywano wagi do ewentualnych działań na Wschodzie potężnej, jakoby, armii gen. Weyganda. Najwięcej, oczywiście, nadziei do działań tej armii przywiązywali niepoprawni marzyciele—Polacy.

Otóż w ramach tej armii zdecydowano tworzyć jednostki polskie z pośród żołnierzy napływających z kraju poprzez zielone granice i z obozów internowanych Węgier i Rumunii. Kadrę oficerską dla pierwszej wielkiej jednostki przysłano z Francji, po odpowiednim jej przygotowaniu. W stosunkowo niedługim czasie zorganizowano brygadę górską, dając jej nazwę: Brygada Strzelców Karpackich. Organizacja brygady była wzorowana na francuskiej i składała się z dwóch półbrygad piechoty, każda z dwóch batalionów, z dyonu rozpoznawczego, dyonu dział górskich i oddziałów pomocniczych, jak: łączność, saperzy i t.d., oraz służb. Wszyscy napływający do Syrii żołnierze polscy byli lokowani w ośrodku zapasowym w Bejrucie, a dopiero stamtąd, po załatwieniu formalności ewidencyjnych, przyjmowani do armii polskiej i odsyłani do brygady.

Usilną pracą wyszkoleniową w przeciągu krótkiego czasu wystawiono doskonałą wielką jednostkę bojową, która stosunkowo łatwo, przy dalszym napływie sił, mogła się rozrastać. Zagadnienie upraszczało się dzięki temu, że do brygady napływał głównie żołnierz już wyszkolony, zahartowany w Kampanii Polskiej, a wymagający jedynie krótkiego przeszkolenia dla zapoznania się z bronią francuską.

Dzięki łaskawemu zaproszeniu pułkownika pojechałem z nim do ośrodka zapasowego, aby zobaczyć żołnierzy, którzy pochodzili z lotnictwa.

W obozie było kilku pilotów, dość duża partia mechaników i wiele młodzieży, która jeszcze nie służyła w lotnictwie, ale się o nie otarła w szkołach szybowcowych i motorowych wojskowego przysposobienia lotniczego w Polsce. Pułkownik polecił mi zbadać personel lotniczy i przedstawić wnioski co do jego dalszego użycia.

Adam Wojtyga

Polscy żołnierze w Egipcie przed stuleciem

W roku 1831, w wojnie narodowej z Rosją, śpiewali nasi żołnierze strofę "Warszawianki":— Matko Polsko, dzieci Twoje dziś szczęśliwszych doszły chwil od tych sławnych, gdy ich boje wieńczył Kremlin, Tybr i Nil . . .

Co do Nilu, trzeba stwierdzić, że nie było tam wojska polskiego przed naszą karpacką brygadą, o której "znów zaczyna być na świecie głośno." Natomiast byli tam dwoma nawrotami polscy generałowie i oficerowie.

W wyprawie egipskiej Napoleona (1798), do której odnosi się wzmianka w "Warszawiance", brało udział sześciu Polaków, ale jako oficerowie francuscy. Najstarszy z nich—niegdyś konfederat barski, później kościuszkowski, generał Józef Zajączek, był przez czas dłuższy gubernatorem wojskowym części Dolnego Egiptu. Dobrze się sprawił w całej kampanii. W czasie obrony Aleksandrii przed Anglikami ostatni na radzie wojennej opierał się poddaniu fortecy. Francuscy żołnierze przezwali go "Generał Kawon", bo zajadał się kawonami, które przypominały mu Ukrainę. Napoleon przezywał go później Egipcjaninem i miał dlań wiele przyjaźni.

Głośniejszym jeszcze był pułkownik sztabu (Adjudant-commandant) Józef Sułkowski, genialny i nieustraszony żołnierz, zaufany adiutant Napoleona. Ten poległ w Kairze, w czasie rozpoznania rozsiekany przez zbuntowanych Arabów.

Poza nimi był pułkownik inż. Łazowski, zupełnie sfrancuziały i trzech legionistów, którzy przeszli do służby francuskiej: pułk. Grabiński, majorzy Szumlański i Hauman. Tych, wracających do Francji, pojmali Turcy na morzu. Ze srogiego więzienia w Stambule, gdzie Hauman umarł, dwóch pozostałych wydobył przez długie zabiegi stary generał ziem podolskich, książę Adam Czartoryski.

Po latach, w roku 1809, w czasie wojny polsko-austriackiej, książę generał, który miał tytuł austriackiego feldmarszałka, znalazł się w pewnym kłopocie, bo cesarz austriacki wzywał go do Wiednia, a staruszek, choć szczerze pomagał Polakom, nie chciał palić mostów za sobą. Dał więc znać do kwatery głównej księcia Józefa Poniatowskiego, że chce być jeńcem. Zjawił się zatem w Sieniawie adiutant polskiego wodza naczelnego, podpułkownik Szumlański i nałożył areszt na feldmarszałka, który śmiejąc się mówił: to ja cię wykupiłem z jassyru, a ty do niewoli mnie bierzesz!

Lata minęły. Stary generał ziem podolskich dawno już nie żył. Syn jego, także Adam, był prezesem Rządu Narodowego w 1831 roku, a po przegranej wojnie na wygnaniu niestrudzonym bojownikiem sprawy polskiej.

W Egipcie rządził wtedy Mahomet Ali, twórca panującej obecnie królewskiej dynastii. Panował nie tylko nad własnym krajem, lecz także nad Palestyną i Syrią. Zanosiło się na to, że zjednoczy pod swym panowaniem cały świat muzułmański i odrodzi zmurszałe ottomańskie imperium. Zaniepokoił się car Mikołaj I i groził mu wojną. Wtedy, w roku 1833, książe Czartoryski nawiązał układy z Egiptem, proponując konwencję wojskową, udział oficerów i żołnierzy polskich w armii egipskiej.

Do Kairu udała się polska misja wojskowa ze sławnym z kampanii litewskiej 1831 roku generałem Henrykiem Dembińskim na czele. Generał był czas dłuższy w Egipcie, opracowywał projekty organizacji armii Mahometa Alego, współpracował z jego synem, bitnym wodzem Ibrahimem Paszą. Jednakże władca Egiptu obawiał się prowokować Rosję przez przyjęcie liczniejszego zastępu Polaków. Układy rozchwiały się a z nimi ta przedstuletnia współpraca polsko-egipska.

Korespondencja, tycząca się misji generała Dembińskiego z archiwum księcia Czartoryskiego zebrana, pojawiła się parę lat temu drukiem, kosztem króla Fuada i obecnie panującego króla Faruka, w dwóch wspaniałych tomach, z mnóstwem portretów.

Nasi bracia, walczący dziś w Egipcie, nie są więc pierwszymi tam żołnierzami polskimi, ale po raz pierwszy walczy tam wojsko polskie i to nie za cudzą, odległą sprawę, ale z wrogiem śmiertelnym, znęcającym się nad naszą Ojczyzną. O tyle jest szczęśliwsze od tych Polaków, których rzuciły tam losy za Napoleona—Zajączka, Sułkowskiego i innych—a także od Dembińskiego i jego towarzyszy, którzy okazji zbrojnej służby szukali daremnie.

M.K.

Pryszczyk wieje

Z pomiędzy wzgórz Storożyńca, Radauti i Suceawy — przez Falticzeni—wjechaliśmy w dolinę Seretu i Moldovy; a później w step, co się słał, jak okiem sięgnąć, po obu stronach rzeki. Olbrzymie, nieobjęte wzrokiem łany złotej kukurydzy, pastwiska, sięgające od jednego do drugiego krańca horyzontu i pustka, pustka, pustka . . . Tylko żurawie studzien w szczerym polu spoglądają w niebo nalane słonecznym blaskiem, jak miodem. Tylko gdzieś na rozdrożu Chrystus rozpięty na próchniejącym krzyżu. Tylko osiadłe, porosłe głogiem, starodawne kurhany, bodaj z tych czasów jeszcze, kiedy tu były Dzikie Pola, tratowane przez tatarskie zagony . . . Wypalone skwarem trawy, ziemia spękana od gorąca, tumany pyłu wzdłuż szosy za każdym samochodem.

Przebywamy w bród Moldovę pod miastem Roman, Bystrzycę pod Bacau i jeszcze parę rzeczek po drodze do Focsani. To w Rumunii sposób o wiele pewniejszy, niż jazda przez mosty, przeważnie popsute, a prawie nigdy nienaprawiane. Nie wiem tylko, jak się tu jeździ w czasie, gdy rzeki są wezbrane, nie zaś wyschłe, jak teraz.

W Focsani zatrzymują nas rumuńskie władze wojskowe. Mają się tu zbierać kolumny po 50 wozów i stąd, prawdopodobnie pod eskortą, jechać na Braillę do Tulczy. Wcale mi się to nie podoba. Ani mnie, ani Zygmuntowi. A już Pryszczykowi—najmniej.

Wysiadamy, żeby się czegoś dowiedzieć i rozprostować nogi, Maryśka zaś pozostaje na straży wraz z drugim naszym kierowcą.

Sytuacja wyraźnie pachnie obozem internowanych z perspektywą na baraki i druty kolczaste, nie zaś angielskimi samolotami, które nam przed przejściem granicy obiecywano. Robimy więc dokładniejszy wywiad i postanawiamy nie dać się odrutować. Takich, jak my dwaj jest zresztą wielu i wszyscy zamierzają dostać się do Bukaresztu. Tam jest nasze poselstwo i attaché wojskowy. Stamtąd można będzie jakoś wyrwać do Francji, żeby się dalej bić. A tu . . .

—Nie! Tu nie zostaniemy w żadnym razie.

Wracamy po godzinie do Maryśki i przedstawiamy mu nasz plan: kupić jaki taki cywilny przyodziewek i różnymi środkami lokomocji po dwóch i pojedyńczo przemknąć się do rumuńskiej stolicy. Ale Maryśka nie może się zdecydować: ma skarbowe pieniądze, ma ludzi, samochody . . .

—A was żandarmi złapią zanim się stąd ruszycie.

—Hy—mówi Pryszczyk z lekceważeniem — rumuńskie żandarmy?!

Rozstajemy się tedy z Maryśką, który wypłaca nam odprawę w nowych, szeleszczących banknotach i idziemy szukać ubrań.

Nigdy w życiu nie miałem na grzbiecie takiej tandety. Wyglądamy dosyć podejrzanie. Ja w zrudziałym kusym garniturku i w za wielkiej cyklistówce—na dezertera; Zygmunt—w pomidorową kratę—na handlarza żywym towarem; Pryszczyk—w smokingu i w zielonych pumpach—zgoła na złodziejaszka. . . .

Decydujemy się we dwóch z Zygmuntem jechać pierwszym autobusem do Ramnicul Sarat; tam wsiąść do pociągu; przesiąść się w Buzau na torpedę bukareszteńską, ale nie dojeżdżać nią do końca, bo podobno torpeda jest tam szczególnie kontrolowana; przesiąść się więc w Ploesti znów na autobus i dojechać nim aż do śródmieścia Bukaresztu.

Pytamy Pryszczyka o jego plany, ale Pryszczyk jeszcze nie wie jak tę podróż odbędzie. W każdym razie już on sobie da radę.

—Forsy—powiada—mam jak lodu, choć te dranie Rumuny w teraźniejszem czasie po dwadzieścia lejów za złotówkie dają i takiem prawem bogacą się na nas cholernie. A forsa to w tem kraju grunt, bo każden jeden Rumun w razie czego łape tylko nadstawia i na bezczelniaka łapówkie bierze. Już tam nasze policjanty bardziej honorowy był naród, niż te ichnie żandarmy, co nas mają aresztować.

Pożegnaliśmy więc z kolei także Pryszczyka, który miał pójść jeszcze "koleżkie jednego podbajtlować, żeby z nim razem wiał." Zapowiedzieliśmy mu, żeby na stacji autobusów i na dworcu się nie kręcił, bo go złapią, sami zaś poszliśmy do "*cafeany*" na turecką kawę.

Ale gdy po kawie przechodziliśmy koło przystanku, Pryszczyk tam urzędował, rozmawiając żywo z dwoma konduktorami. Nie wiem po jakiemu rozmawiali, bo Pryszczyk wprawdzie potrafił kląć po rosyjsku, z francuskiego nauczył się od nas w drodze "*parle wu franse?*", po rumuńsku zaś—"*sanatate*" i jeszcze dwóch lub trzech słów, które przekręcał z warszawska, lecz na tym kończyła się jego znajomość obcych języków. Dość, że obaj urzędnicy w baranich czapach i brązowych kapotach spoglądali nań z szacunkiem i co trzecie słowo tytułowali go "*domnoa vostra*", on zaś miał minę ważną, jak sam wojewoda Michał na portrecie w "*cafeanie*" i pyskował głośno, spluwając raz po raz przez zęby, czym widocznie imponował całej dokoła zebranej publiczności.

Odwołałem go na bok i wypaliłem kazanie. Co to za wiec tu urządza? Czy chce nas wszystkich wsypać? I—jeżeli ma zamiar jechać autobusem, to czemu nam o tym nie powiedział?

Kręcił się niespokojnie, pociągał nosem i spoglądał zezem na swoich konduktorów.

—Autobusem? Nic podobnego, panie kapitanie!

—Więc po jakiego diabła tu sterczycie?

—Ja tak—orientacyjnie, panie kapitanie. Badam teren . . .

Przyrzekł, że będzie ostrożniejszy i wsiąkł gdzieś między ludzi. Ale gdy nadszedł autobus, pierwszym pasażerem, który do niego wsiadł, był Pryszczyk. Mrugnął na mnie porozumiewawczo, że nas widzi, choć według instrukcji udaje, że nas wcale nie zna i jakby nigdy nic usiadł przy oknie.

Okazało się, że bilet już ma kupiony, właśnie przez żandarma, że wszystko wie lepiej, niż my i że jedzie do Ramnicul Sarat, wraz z nami.

Zasłoniliśmy się rumuńską gazetą, żeby go nie widzieć, ale robił tyle ruchu i zamieszania, że skóra na nas cierpła. Najpierw szarmant, psia krew—wyrwał jakiejś dziewczynie walizkę, żeby ją umieścić na półce i wyrżnął nią w łeb konduktora. Potem zaczął się przystawiać do swojej sąsiadki jedrnej, czarnookiej Rumunki, tak natarczywie, że się w to wmieszał jej mąż, drab wielki i groźny, jak sam Taras Bulba i omal nie doszło do awantury. Wreszcie swoim "*parle wu franse*" zwróconym do głuchawego, starego chłopa, wywołał powszechną sensację i dyskusję całego autobusu na temat, kto to może być ten interesujący turysta.

Mimo wszystko do Ramnicul dojechaliśmy bez przeszkód. Pryszczyk od razu znikł w słusznej obawie, że mu natrę uszu za jego występy, my zaś, kupiwszy bilety pierwszej klasy do Buzau, ruszyliśmy na poszukiwanie restauracji, gdzie można by co zjeść.

Znaleźliśmy ją w pobliżu dworca i właśnie—zamówiwszy butelkę wina—głowiliśmy się nad rumuńskim jadłospisem, gdy drzwi otworzyły się z trzaskiem i wszedł Pryszczyk, obładowany paczkami, ze zwiniętą w rożek gazetą pełną winogron, które pożerał spluwając na lewo i prawo łupinkami. Nie dostrzegł nas, bośmy siedzieli w kącie, zasłonięci sztuczną palmą, przemaszerował przez pół sali stukając podkutymi wojskowymi buciarami i siadł przy jednym ze środkowych stolików.

Jakiś starszy pan w okularach, siedzący z żoną i córką obok, popatrzył na niego z nad szkieł; dwaj żywo rozprawiający wojskowi zamilkli; zatopiony w gazecie grubas przerwał czytanie. A Pryszczyk obejrzał ich kolejno, ułożył troskliwie piramidę swoich paczek na stole, pokręcił w obu rękach kartę potraw, przekrzywiając głowę to w lewo to w prawo, wzruszył ramionami i psyknął na kelnera, kiwając na niego palcem.

—Psst, hallo, kelner—*povtic*!

Ponieważ jednak kelner nie bardzo się kwapił do niego, właśnie zmierzając ku nam, bezczelne indywiduum złapało go w drodze za połę białej, mocno już sfatygowanej marynarki i, nie zwracając uwagi na jego rumuńską gadaninę, pociągnęło do stolika starszej pary małżeńskiej z córką.

—Povtic mi to, rumuńska twoja niedola—rzekło szczerze warszawskim akcentem, wskazując brudnym paluchem talerz z dymiącą baraniną pod nosem matrony. — Komprene? Parle franse! Dawaj w try miga!

My zdębieliśmy, ale kelner zrozumiał, matrona obdarzyła Pryszczyka miłym uśmiechem, a siedemnastoletnia córeczka (wymalowana rumuńską modą jak wielkanocne jajo) zaszczebiotała do niego wcale niezłą francuszczyzną.

Pryszczyk zmarszczył się straszliwie z wysiłku, aby coś odpowiedzieć i w tej chwili zobaczył nas . . . Zacisnął powieki, zamrugał i nagle, wyprężywszy się na baczność frontem w naszą stronę, po wojskowemu trzasnął kopytami, aż echo poszło po sali.

Zygmunt omal nie zemdlał. Ja zasłoniłem się gazetą, a wzrok wszystkich obecnych skierował się z kolei na nas obu.

Przeczekaliśmy jakoś to piorunujące wrażenie, jakie ogarnęło publiczność i wdaliśmy się w trudną konferencję z kelnerem. Niestety umieliśmy po rumuńsku nie wiele więcej, niż Pryszczyk, więc musieliśmy wreszcie uciec się do sposobu zamawiania potraw, jakim posługiwał się ten ostatni.

On tymczasem przysiadł się do rozszczebiotanej panienki i po chwili czuł się już, jak u siebie w domu. Zamawiał wino, rozprawiał—głównie gestami—i odbywał pierwszą lekcję konwersacji.

Gdyśmy wychodzili, starszy pan w okularach płacił za niego rachunek . . .

Siedliśmy do przedziału pierwszej klasy, w którym tylko dwa miejsca były zajęte przez jakiegoś generała i młodego człowieka o semickich rysach. Spojrzeli na nas obojętnie i nie zwrócili uwagi na nasz dość dziwaczny wygląd. Generał palił cygaro i czytał. Młody człowiek coś notował, czy też obliczał na marginesie handlowego listu.

Pociąg już dyszał, gdy drzwi przedziału odsunęły się i stanął w nich—oczywiście—Pryszczyk ze swoimi paczkami. Zobaczył nas, poczerwieniał, zawrócił z miejsca i—wymiotło go jak wichrem. Odetchnęliśmy z ulgą, w nadziei, że pojedzie sobie aż do Bukaresztu tym pociągiem.

Aliści w Buzau jak tylko wysiedliśmy, wysypał się na peron cały sąsiedni przedział drugiej klasy, w którym ten bęcwał jechał. Paczek było znacznie mniej, natomiast hałaśliwe pożegnania towarzyszyły rozstaniu Pryszczyka z jakąś hałastrą, która popijała z butelek i wznosiła okrzyki na cześć Polski, poklepując go po łopatkach.

Na szczęście torpeda już stała na stacji. Skoczyliśmy do niej co tchu, żeby nas nie widział i wsiedliśmy do przepełnionego wagonu. Pryszczyk zresztą wgramolił się zaraz za nami i zajął ostatnie wolne miejsce, obok mnie. Konspirował się teraz nadzwyczajnie, nic nie gadał, tylko łypał na nas oczyma i wiercił się jak na szpilkach.

Widziałem, że go trapi jakaś troska, ale udawałem, że niczego nie dostrzegam. Więc on wreszcie zasłonił twarz dłonią od strony dalszych sąsiadów i, wykrzywiając ku mnie usta zapytał półgębkiem:

—Panie kapitanie, a ile kosztuje bilet do Bukaresztu?

—Pięćset lej — odrzekłem wprost przed siebie w powietrze.

Zmrużył powieki, zmarszczył się i aż syknął, jakby go sparzyła ta wiadomość.

—Nie macie biletu?—zapytałem.

Już chciał wyjechać ze swoim zwykłym "nic podobnego panie kapitanie", ale się zreflektował. Westchnął ciężko i potrząsnął głową.

—Musicie zaraz o tym powiedzieć konduktorowi, bo wam każą zapłacić karę.

To oburzyło go do głębi. On będzie karę płacił? Rumunom? To go grubo nie znają z cywila.

— Nic podobnego, panie kapitanie. Już ja ich wykiwam.

Zaniepokoiła mnie ta obietnica.

— Kiwajcie ich jak chcecie. Tylko pamiętajcie, że ani ja, ani kapitan Wasilewski nic wspólnego z tym nie mamy. No i—dosyć tej konwersacji, *comprenez*?

Gęba mu się rozjaśniła na to ulubione słówko. Zrobił perskie oko, zamrugał, chrząknął, rozsiadł się lepiej, trącając mnie łokciem, że to obaj lampę z Rumunów robimy i hecę odstawiamy, i zaraz nabrał fantazji.

Zajrzał do gazety sąsiadowi na prawo, wyjął z kieszeni nadtłuczone lusterko, chuchnął na nie, wytarł chustką od nosa, przejrzał się, włosy przygładził, poprawił węzeł czerwonego krawata i zaczął przewracać ślepiami do pani w doskonale skrojonym angielskim kostiumie, która siedziała naprzeciw niego. Ponieważ wszystkie te zabiegi pozostały niezauważone, postanowił nieco się posilić. Wstał tedy i—świadom dobrego wychowania—podłożył sobie gazetę sąsiada na pluszowej ławce nim na niej postawił nogę, by sięgnąć na półkę po resztę swoich zapasów. Wyciągnął stamtąd pół tuzina tabliczek czekolady, rozwinął jedną z nich, rozdziawił gębę, błysnął żółtymi, szczerbatymi zębami i zaczął chrupać, mlaskając aż się rozlegało.

To zwróciło wreszcie uwagę jego vis-à-vis. Niewiasta w angielskich wełnach spojrzała nań spod oka i widocznie powstrzymywała uśmiech. Istotnie Pryszczyk wyglądał pociesznie: sztywne, wybrylantynowane włosy wstrząsały mu się nad zmarszczonym czołem, brwi, nos, uszy, grdyka i szczęki—wszystko było w ruchu, a błogość nie opuszczała jego piegowatej gęby. Przełknął głośno, powiedział "*op-pardą*" i zabrał się do rozwijania następnej tabliczki. Czynił to bardzo wytwornie, trzymając ją daleko przed sobą dwoma palcami lewej ręki, rozczapierzywszy jak najszerzej trzy palce pozostałe. Prawą zdjął cynfolię, zwinął ją w kulkę i wdzięcznie wyprztyknął pod sufit. Kulka spadła na kapelusz Zygmunta, Pryszczyk skłonił się w jego stronę, powiedział "*op-pardą*", i okrągłym a wymownym ruchem podstawił czekoladę pod nos damie.

Dama skłamała po francusku, że nie lubi czekolady i wymawiała się jak mogła, bardzo zażenowana. Ale nie wiedziała, z jakim to rycerzem sprawa . . . Pryszczyk zaciął szczęki i uparł się.

— *Povtic*!—rzekł uprzejmie ale stanowczo i—zwyciężył.

Niesyt triumfu, poczęstował w ten sam sposób sąsiada na prawo, obu sąsiadów damy, wreszcie zaś—Zygmunta i mnie.

Zgrzytaliśmy zębami, wzrok nasz miotał pioruny, ale nie śmieliśmy mu odmówić, żeby nas nie zdemaskował.

Potem przyszedł konduktor. Stary, suchy, poważny, wcale nie do żartów. Sprawdzał bilety milcząc, jak automat, bez cienia uprzejmości. Pryszczyk aż się za uchem podrapał, kiedy go zobaczył. Zaczął demonstracyjnie wywracać wszystkie kieszenie swego niesłychanego garnituru, szukać pod ławką, na półce, między paczkami i znów po wszystkich kieszeniach. Biletu oczywiście nie było, bo i skądże się miał wziąć?—A tamten czekał groźny, suchy i niewzruszony.

Cały przedział wziął udział w poszukiwaniach. My obaj z Zygmuntem—nie chcąc się wyróżniać, bo to zwróciło by na nas uwagę—szukaliśmy także, choć nas zła krew zalewała, że bierzemy udział w tym błazeństwie.

Sytuacja stała się jednak naprawdę dramatyczna wówczas, gdy kolejowy sucharek wyskrzypiał drewnianym głosem po rumuńsku jakieś pytanie, którego żaden z nas trzech nie zrozumiał. Pryszczyk wytrzeszczył na niego oczy, poczerwieniał, bąknął pod nosem coś, co brzmiało jak "bodaj cię cholera utłukła" i rozejrzał się rozpaczliwie, zatrzymując wzrok na nas. Wtedy stała się rzecz dziwna: wszyscy zaczęli gadać naraz i zrobił się straszliwy rejwach. Dama w angielskim kostiumie złapała konduktora za złoty guzik i trajlowała jak karabin maszynowy; prawy sąsiad zaklinał się—o ile mogłem zrozumieć—że na własne oczy widział bilet tego *domnula*; pani z dzieckiem siedząca przy oknie potakiwała gorąco; pan w meloniku gestykulował, jak starozakonny aktor, a uczeń w czapce ze znaczkiem Straja Tari piszczał, jakby go kto ze skóry obdzierał.

Nic to jednak nie pomogło i Pryszczyk ujęty pod ramię przez władzę powędrował wraz z paczkami do służbowego przedziału, aby zapłacić czterokrotną wartość biletu . . .

Żal mi się go zrobiło, a uczucie to widocznie podzielali nasi towarzysze podróży, bo długo jeszcze nie mogli się uspokoić i gorąco dyskutowali o krzywdzie, jaka spotkała w ich kraju sympatycznego etrangera. Pryszczyk zaś nie wracał.

Torpeda zatrzymała się na stacji w Mizil, gdzie nikt nie wysiadł z wyjątkiem kontrolera kolejowego w wygalonowanym mundurze. Obserwowałem go przez okno: pobiegł do bufetu i wrócił, dźwigając sześć butelek piwa. Do wagonu wtłoczyło się jeszcze dziesięć osób, a Pryszczyka nie było widać.

Ruszyliśmy. Konduktor też się nie pokazywał. Zygmunt zaczął przypuszczać możliwość rabunkowego morderstwa w przedziale służbowym na osobie naszego Guliwera. . . Postanowiliśmy to zbadać i przepchnęliśmy się z trudem na przód torpedy.

Zygmunt skradał się do oszklonych drzwi przedziału, jak sam Sherlock Holmes. Pokazał mi odciski brudnych palców na mosiężnej klamce, kurz na podłodze i zmiętą gazetę w kącie korytarza. . . Kręcił głową i marszczył czoło.

—To daje do myślenia—oświadczył.

Usiłowaliśmy zajrzeć do przedziału, ale okna były zasłonięte. Przez szparę widać było tylko zgodnie kołyszące się na wieszaku: mundur ze złotymi guzikami konduktora i wyświecony smoking Pryszczyka.

—No-no—szepnął Zygmunt.—Kto by to przypuszczał. . .

—Co? — zapytałem szalenie zaintrygowany.

Ale Zygmunt milczał, ważąc w sobie wnioski i dedukcje. Nie śmiałem mu przerywać. Wypaliłem papierosa i właśnie otwierałem okno, żeby wyrzucić niedopałek, gdy wagon opadł na pierwsze zwrotnice torów stacyjnych Ploesti. Zaczęły go sobie podawać: na prawo, na prawo, na lewo, i znów na prawo, aż mną rzuciło od ściany do ściany. Upuściłem cygarniczkę, schyliłem się, aby ją podnieść i—o zgrozo!—ujrzałem strugę krwi wypływającą spod zamkniętych drzwi służbowego przedziału. . .

—Patrz! — szarpnąłem Zygmunta za portki w pomidorową kratę.—Co to jest?!

—Piwo—odrzekł z flegmą.—Chodźmy.

Ochłonąłem, widząc jego spokój, choć nie bardzo jeszcze wiedziałem, co mam o tym myśleć. Ale torpeda już zgrzytała hamulcami i po chwili stanęła.

—Ploesti!—darł się ktoś za oknem.

Wysiedliśmy. Za nami wyskoczył kontroler, pognał do bufetu, porwał stamtąd sześć butelek piwa i już wracał trochę rozfalowanym, ale szybkim krokiem.

Obejrzałem się na wagon. W oknie służbowego przedziału objęci przyjacielskim uściskiem stali konduktor bez kurtki i Pryszczyk z powiewającym czerwonym krawatem. Każdy z nich w wolnej ręce dzierżył butelkę.

Odwróciłem się prędko i poszliśmy zobaczyć rozkład jazdy autobusów. Najbliższy odchodził za godzinę. W Bukareszcie mógł być najwcześniej za trzy godziny.

—A Pryszczyk dojedzie torpedą w trzy kwadranse—westchnął Zygmunt.

—Ale zapłaci 2.000 lei kary i wsadzą go do kryminału—dodałem pocieszająco.

—Zapłacił z pewnością za sześć butelek piwa—odparł Zygmunt melancholijnie.—Następnych sześć postawił kontroler. O żadnej karze ani nawet o bilecie mowy nie ma. A już ci dwaj go przeszwarcują, jak lepiej nie można. Cóż? Chodźmy na kawę.

Poszliśmy.

Porucznik Herbert

Z życia obozów

Argentyńczyk z Łyczakowa

Małe miasteczko szkockie, bliźniaczo podobne do tylu innych, z obowiązkowym Bankiem "*of Scotland,*" *Church-Hallem,* "*Fish and Chipsem*" przeżywało w lecie Roku Pańskiego 1941 nową przygodę.

W tym to czasie tubylcza Peggy czy inna Betty, systematycznie kształcona przez polskiego soldiera szeptała w razie potrzeby piękną polszczyzną: "Kocham Ciebie," a najmłodszy mieszkaniec uroczego "*village*" biorąc pypkę do buzi, witał o świcie własną szkocką matulę staropolskim: "Dzień dobry." Nasze Jaśki z Krowodrzy wówczas pomadowały już umiejętnie płowe włosy brytyjskim "*Brylcremem,*" a Franki z Czerniakowa uważały picie "*Horlicksów*" bez słomki za poważny *shocking* towarzyski. Cywil szkocki zazdrosnym zezem spozierał na szczęśliwe podboje rycerstwa polskiego, które rozkochiwało w sobie najpiękniejsze "*girlsy*" i wzdychając szedł samotnie na czarny "*Stout*" do baru.

Tak to się Szkocja z Polską poznawały, gdy do cichego miasteczka "*somewhere in Scotland,*" przybył pierwszy transport ochotników polskich z Ameryki Południowej. Wylądował w ramionach żołnierzy Polak-rolnik z Brazylii, Polak-kelner z Urugwaju, Polak-szofer z Argentyny. Całą tęsknotę do Polski wypowiedzieli w krótkich uściskach spracowanych, dłoni, w powitaniu polskiego żołnierza w Szkocji. Granice tęsknoty znaczono w opowiadaniach latami. Rozpiętość była ogromna: ten góral wyjechał do Urugwaju z doliny Chochołowskiej w r.1920 ten górnik ze Śląska zaledwie cztery lata temu opuścił ojczyznę, a ów najmłodszy, z niebieskimi oczami nie umie po polsku urodzony z ojca Polaka i matki Brazylijki, ale przyjechał. Dlaczego? Tędy wraca do Polski. Musi wrócić! Ojciec umierając przykazał, matka dotrzymała obietnicy. Więc syn jest tu. Po polsku będzie się uczył od jutra.

Polacy, żołnierze-tułacze, sercem witali na obcej ziemi emigrantów Polaków: rolników, robotników, przemysłowców — marsza im własna polska orkiestra zagrała. Wąsaty sierżant-szef gospodarczy, który z reguły niczego chętnie nie daje, wyciągnął dla nich nowiutkie '*battle-dressy,*" a zgięty (z nadmiaru papierów) chorąży nawet tak bardzo "nowych" ewidencją nie zamęczał. Koleżeńsko, uczciwie, serdecznie dzieliły się polskie *soldiery* z nowoprzybyłymi kwaterą, praktyczną wiedzą wojskową i nawet, nawet niejeden/ choć z bólem w sercu/wziął takiego z Urugwaju, żeby go "*introduce*" swojej "*lady,*" a potem zaprowadził na "*cup of tea*" do szkockiej chrzestnej mamy, gdzie tak miło pogawędzić można przy "*fireplace.*" Nic to, że ręce bolą od tego gadania /w jednej słownik, a drugą się mówi/, bo jest tam przecież coś z tej tak łakomie przez żołnierza poszukiwanej atmosfery własnego domu. Jest tam jakiś nieokreślony, a niezbędny do pełnego życia porządek codziennych wypadków: ojciec wraca z pracy, matka szykuje podwieczorek, córka gra na pianinie, kominek płonie. . . . Wystarczyło by siedzieć w fotelu i nic nie mówić, ale nie wypada. Chciałoby się przymknąć oczy i wyczarować obraz najdroższych jakichś twarzy. . . . Niby nic takiego. Zwykły szkocki "*sitting-room*" o wieczornej porze. Niby nic—a tak dużo.

Mietek pancerniak nie poszedł tego dnia do kina, "*sweathearta*" nie miał, u chrzestnej matki był wczoraj, na "drinka" nie było grosza, bo żołd dopiero pojutrze, a ten wieczór taki długi, a te myśli takie ciężkie, nic dziwnego, że głowa chyli się ku ziemi. Poszedł na spacer. . . .

Taka sama w każdym szkockim miasteczku High-Street i Hope-Street. Taka sama tęsknota chodzi tymi ulicami z samotnym polskim żołnierzem. Zły dzień miał Mietek pancerniak, czyli po prostu, jak się to mówi pod namiotami, "tłukła go chandra."

Bezmyślnie oglądał wystawy sklepików. Z otwartych drzwi "*Milk-baru*" szedł gwar głosów, niosło się przyjemne ciepło. Wszedł. Tłoczno było i parno. Przy wysokim bufecie, przeplatani "*girlsami*" stali w dwóch rzędach, czekając swej kolejki, żołnierze szkoccy i polscy. Czerwona z pośpiechu Margareta żonglowała szklankami i kubkami kombinując przeróżne "*Ice-drinki,*" "*Lemonsody*" i fantastyczne mleczne coctaile. W powietrzu specyficzny zapach zmoczonych "*battle-dressów*" mieszał się z odorem fajek szkockich.

Mietek szanując obyczaj kraju, który nie znosi pośpiechu, a ubóstwia aranżowanie ogonka: "*Queue*" /kiu/ przy lada okazji stanął w trzecim rzędzie, obok znajomego kaprala z broni pancernej. Kapral uśmiechnął się:

—"Ogonek,uważasz bracie,gdzie staniesz, ogonek. Myślałby kto, że tu "*wishky*" za darmo rozdają, a to człowiek czeka na jedną dziecinną szklankę mleka."

Mietek dorzucił:

—"Ale jak czekają,szpanuj bracie grzecznie, elegancko, z fasonem. Ta u nas we Lwowie byłaby zaraz granda, jak cholera: "ja był przed panem, pan był przede mna, jak panna obsługuje, proszy sie nie pchać."

Kapral westchnał sentencjonalnie i przesunał sie do drugiego rzedu. Wtedy Mietek usłyszał za soba nieśmiałe, ciche pytanie:

—"Przepraszam, to . . . to . . . pan jesteś z mojego Lwowa?"

Głos ten drżał, choć twardo ciosał każde słowo z osobna. Mietek odwrócił sie zaciekawiony. Jeden rzut oka upewnił go. Tak, tak. To ten z Ameryki Południowej. Trzy dni temu przyjechał z innymi. Nowy mundur, nowa maska, beret jakby trochę za wielki. . . .

—"Czołem, kolego. Tak, ja ze Lwowa. Albo co?

—"Nic, nic. Chciałem porozmawiać."

—"No to faino. Weźmiemy mleko i możemy tam usiąść przy stoliku."

—"Si, si."

Doczekali swej kolejki, poczem z pełnymi szklankami usiedli w ciemnym kącie *Milk-baru.* Amerykanin, trzymając szklankę w ręce wyciągnął ją w stronę Mietka, zastanowił się chwilę, poczem wykrztusił:

—"Cyk bracie."

Mietek zdumiał się.

—"Pan kolega to zna?"

Tamten zniżył głos i próbował dalej zawstydzony: — "Jeszcze coś pamiętam. . . . Zaraz, zaraz. . . . Bądź blat, ja dorobim nogi. . . .

—"Będzie stół" — zakończył oczarowany Mietek. Teraz już indagował dalej bezlitośnie, okrutnie: Kiedy się mówiło: "kobyli my zdrowe byli," a kiedy: "żeby nam się dobrze działo w dzień i w nocy popijało"?, kiedy: "kryj pazur," a kiedy znowu: "kryj graby." Stuknęli się mocno, aż szklanki zadźwięczały. Amerykanin, patrząc jak dziecko w oczy Mietka prawie wyszeptał:

—"Ja . . . z Łyczakowa . . ."

Pancerny towarzysz o mało nie spadł z krzesła.

—"Nie gadaj, człowieku, bój się Boga. Ja tyż. Z której ulicy?"

—"Krupiarska—uśmiechnął się dumnie.

—"Ja z Mącznej."

—"Górny Łyczaków, tak, tak, swoja wiara . . .

—"Batiarnia, makabunderia" —poprawił rzeczowo Mietek.

—"Hebra"—przypomniał sobie lojalnie lwowski Amerykanin.

Pancerniak wydobył "*Goldfleki.*" Zapalili. Amerykanin zaczął wolno, jakby z trudem dobierał słów:

—"Pietnaście lat w Argentynie. Pietnaście lat—bez Lwowa. Wy dopiero dwa lata, a jak wam ciężko. Było się kelnerem i szoferem, barmanem, mechanikiem, w dokach pracowałem—a ciągle to samo, wszędzie to chodziło ze mną Mendoza, Santa Fé, Cordoba. Santiago, Buenos Aires. Każdy dworzec był podobny do lwowskiego, każde wzgórze do Wysokiego Zamku, każdy park do Łyczakowskiego. . . . Będzie lepiej — myślałem — ożenię się, zapomnę. Tak zrobiłem. Żona Argentynka. Dzieci mam dwoje. Z portfelu wyjął jakieś bibułki, owinięte wstążeczką. Na stół wypadły małe fotki.

—"Morowa baba"—stwierdził tonem znawcy pancerniak.

—"Zostawiłem ją teraz. Czy ja wiem co będzie? Z Argentynkami różnie bywa. Dzieci mi żal. O, tu, patrz bracie, jedno, czarne całkiem, do niej podobne ale ten chłopak, ten blondas, patrz, taż to jest czysty . . . lwowski batiar. No nie?"

Mietek pocieszał go na swój sposób, jak umiał:

—"Nie martw się frajerze, po wojnie samoloty będą jarzyny na targ zwoziły, będzie tego śmiecia do cholery i trochę. Z Argentyny na Skniłów będziesz mógł lecieć za jedne 50 groszy het i nazad czyli za 1 złoty i 50 groszy całą familię sprowadzisz z Kordoby na Krupiarską—tyż na "K."

Argentyńczyk westchnął ciężko, poczem zapytał niespodzianie:

—"Zaraz, zaraz . . . nie mogę sobie przypomnieć—na Skniłów, to . . . którędy się szło?

—"Przez Gródecką, koło Elżbiety, potem górą . . ."— pomagał Mietek.

Argentyńczyk przymknął oczy:

—"Z prawej był parkan, długi parkan i składy węgla, po lewej domy kolejowe. A z Kopytkowego można było tramwajem "Ł.D." dojechać aż na Krupiarską . . ."

—"Nie „Ł.D." bracie. To już potem był nr. 1."

—"Aha, zmienili. Czy on jeszcze piszczał tak ciągle na rogu Czarnieckiego, koło Klarysek?

—"Kto?"

—"Tramwaj lwowski."

—"No pewnie. Stary "balon" lwowski."

—"Si, si, balon go nazywali."

—"Albo trambal."

Uśmiechnęli się do własnej gwary. Argentyńczyk był rozgorączkowany, chciał wiedzieć dużo, za dużo, chciał przenieść się do dziecinnych, młodzieńczych czasów, ciągnął Mietka siłą swego pragnienia na Górny Łyczaków. Pytania sypały się jedne po drugich. Czy jest jeszcze ogródek w piwiarni Kijaka? Czy stary Kozakiewicz zawsze siedział na ławeczce przed sklepem? Czy w Parku Łyczakowskim sprzedawał precle ten sam stary Weku? W pewnym-momencie wybuchła krótka sprzeczka:

—"A plac św. Antoniego—te stragany, Bratkowska miała pierwszy z skraja od budki tramwajowej"—przypomniał Argentyńczyk.

—"Niech pan kolega nie gada głupstw"—denerwował się na serio Mietek. —"Stara Bratkowska jak świat światem siedziała skraju, ale więcej od kościoła, od ul. Słodowej, a nie od budki tramwajowej. A od strony budki miał swój stragan zezowaty Stuligłowa."

—"My na tych straganach, po południu, w centy grali, a jak się ściemniało, to chłopaki bawiły się w "łapankę" między straganami nawołując się hecownie. Na mnie to wołali: "Lolku-szmolku-pitolku - oberwicekatolku - oberwicekata," bo mnie Lolek na imię—od Karola."

—"Mietek jestem."

—"Lolek"!

Pocałowali się godząc spór o Bratkowską z placu św. Antoniego.

—"Si, si, Mieciu, to się ma w oczach-tu-tu . . . te place, stragany, uliczki. Niech mnie drzwi ścisną! Dobrze mówię? No widzisz, nie zapomniałem. Przez 15 lat ja to dźwigam w głowie, w oczach i tu . . . w —środku. Przysięgam Bogu. Tu!" — Wyrżnął się mocno pięścią w szeroką pierś Argentyńczyk Lolko z Łyczakowa.

Pancerniak wsłuchiwał się w jego słowa, chłonąc jakąś nutę znajomą, daleką. Nuta ta tłukła się w tych frazach długich, błąkała się w tych miękkich akcentach na drugiej od końca. Choć mówił z trudem, choć wtrącał obce wyrazy, Mietek wyłowił ją, znalazł, sercem przeczuł, a potem rozkoszował się jak starym winem tą skąpaną w argentyńskim słońcu 15 letnią gwarą lwowską, silniejszą ponad hiszpańskie giętkości. Piękny język Don Juana poniósł sromotną klęskę tego wieczora, przegrywając w szkockim *Milkbarze* match z gwarą Łyczakowa z wynikiem 15:0.

Mietek czuł, że Argentyńczyk ma jeszcze jedno pytanie. Nie zdziwił się więc, gdy ten zarumieniony po uszy, ociągając się nieco, zapytał, tym razem zupełnie cicho:

—"A znałeś Andzię Fijałkiewicz?—

—"No ma się wi. Taka blondyneczka z noskiem. Mieszkała na Piaskowej."

—"Tak, tà sama"—westchnął głęboko Argentyńczyk.

—"Chodziła zawsze na majowe nabożeństwo do tej szklanej kapliczki Matki Boskiej na Górnym Łyczakowie." — przypomniał sobie Mietek.

—"Tak, tak,—szeptał Lolek.— Tam na rogu ul.św. Piotra i Pawła była budka z cukierkami. My tam z Andzią po nabożeństwie biegali po . . . kulki czekoladowe." Głos mu się załamał przy tych kulkach czekoladowych z oczu poleciały łzy. Spadły na rękę pancerniaka. Pieką takie łzy na ręce, argentyński kelnerze, mechaniku, barmanie z Łyczakowa. Pieką. Dwa lata to bardzo długo . . .

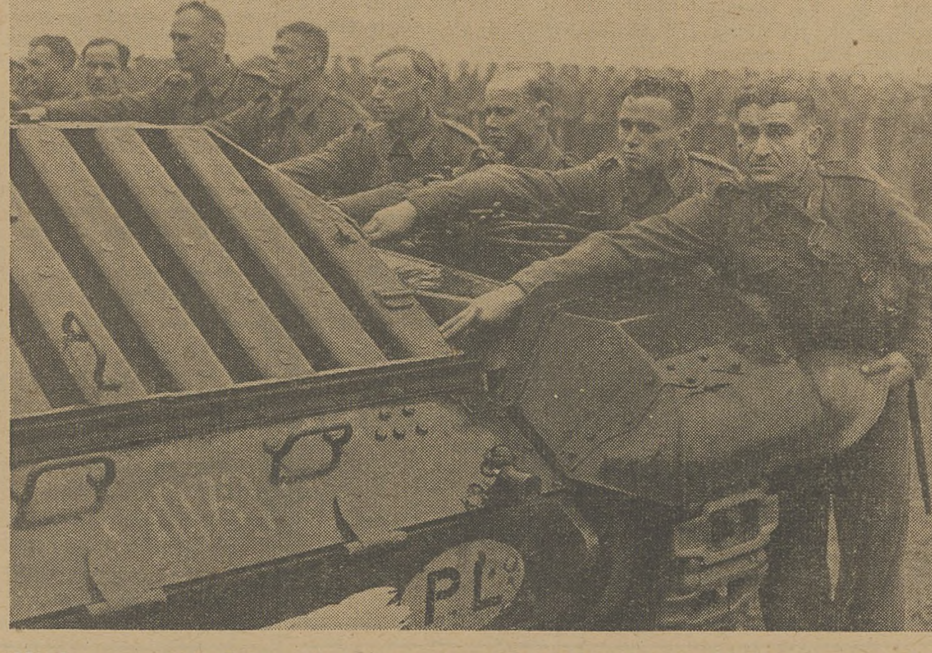
Rozumie ciebie Mietek, pojmuje ciebie bracie serdeczny w tęsknocie, więc opowiada o szklanej kapliczce Matki Boskiej, gdzie majowe odprawiali nabożeństwa, więc mówi o Łyczakowskim Parku, gdzie miłość plotła się z awanturą, przypomina Czartowską Skałę i Miodowe Groty, więc o Andzi opowiada i o kulkach czekoladowych. Zarysowali cały obrus planem Lwowa, z serwetek budowali domki, z pustych szklanek stawiali stragany, słomki lemoniadkowe to były tory lwowskiego tramwaju, zapałki znaczyły drzewa w Parku Kilińskiego. Mietek z siłą dwuletniej tęsknoty wiódł ukochanymi uliczkami zawsze wiernego miasta płaczącego Argentyńczyka z Łyczakowa.

Piętnaście lat tęsknoty miały te łzy . . . Szkoci patrzyli na nich z przerażeniem. Czerwona Margareta zerkała zaniepokojona.

Byli we Lwowie.

Wiktor Budzyński

* *Opowiadanie z przygotowywanego zbioru "Masoneria z nad Pełtwi."*



Niedawno nasi koledzy-ochotnicy z Ameryki Południowej składali przysięgę żołnierską. Fotografia przedstawia chwilę przysięgi na sprzęt bojowy, na wierność Polsce i orężnej walce o Polskę.

PIEŚŃ OCHOTNIKÓW Z ARGENTYNY

O jakże serce dumnie bije,
Że w nas Narodu przyszłość żyje
Że nasz front—to walki front, walki front.
Więc kto Polak razem z nami
Po zwycięstwo nad Niemcami,
Hej maszerujem w Armii Polskiej
Za Wodzem i w Opiece Boskiej.

Orlęta młode Polska woła
Wrogowi stawić mamy czoła
Na jej zew popłynie krew, popłynie krew.
W piersi wrogów wbijem szpony
Pieśń triumfów—zagrzmią dzwony
Hej—Polska wolna znów powstanie
Gdy Teutonom sprawim lanie

Ojczyzna nasza krwią zbroczona
Wyciąga do nas swe ramiona,
Na jej zew—popłynie krew, popłynie krew.
Więc kto Polak—razem z nami
Po zwycięstwo nad Niemcami,
Hej maszerujem w Armii Polskiej
Za Wodzem i w Opiece Boskiej.

W tym naszym młodym pokoleniu
Zabrzmi pieśń; zbudzi się lew—zbudzi się lew.
Na wroga z bronią na ramieniu
Runiemy jak grom na wroga,
Że nie ujdzie żywa noga,
Hej na niemiecki pójdziem szaniec
I zatańczymy krwawy taniec.

(Pierwsze trzy zwrotki oraz pierwszy refren—ułożone zostały w roku ubiegłym na terenie Francji i przesłane do ośrodków polskich w Ameryce Południowej. Ostatnia zwrotka oraz drugi refren dodane zostały do otrzymanego tekstu z Paryża—już na terenie Argentyny.)

Wojna na morzu

GROŹBA WOJNY NA PACYFIKU TRWA NADAL

Pomimo pojednawczych gestów nowego, militarnego rządu japońskiego, sytuacja na Pacyfiku oceniana jest przez Amerykan jako nadal poważna.

"Położenie na Dalekim Wschodzie jest bardzo krytyczne—powiedział pułkownik Knox w jednym z ostatnich swoich przemówień na zebraniu Kongresu w dniu 24 października, b.r. — Jesteśmy całkowicie przekonani, że Japończycy nie porzucili swoich planów ekspansji. Jeśli te plany zaczną wykonywać, starcie jest nieuniknione. Nadto nieustająca groźba japońska wpłynęła na dosyłanie pomocy materialnej dla Rosji. Droga na Władywostok stała się niezmiernie trudna."

JESZCZE O DROGACH MORSKICH DO ROSJI

Słusznie "Polska Walcząca" przewidywała, że najważniejszą dla Sprzymierzonych drogą udzielania "pomocy dla Rosji" pozostanie droga na Archangielsk i Murmańsk.*—"Wysyłamy zbyt cenny materiał na pole walki, abyśmy go mogli narażać na ryzyko uroszczeń japońskich. . . ."

I w parę godzin po wypowiedzeniu tego zdania Komisja Morska Kongresu U.S.A. ogłosiła, że droga na Władywostok zostanie zaniechana i pomoc dla Rosji od dnia 28 października będzie płynęła głównie drogą na Boston (U.S.A.) - Murmańsk - Archangielsk.

Nie wchodząc w ocenę potrzeby takiego publicznego oświadczenia, które brzmi jak prowokacyjne zaproszenie dla piratów niemieckich, należy tylko wyrazić obawę, czy plan ten uda się w pełni wykonać, czy wszystkie transporty do Rosji dotrą na czas. Chodzi tu nie tyle o przeciwdziałanie niemieckie (które w ostatnich czasach osłabło, pomimo że sprzymierzeni nadal oczekuja wzmożenia "Bitwy o Atlantyk"), ile o nadchodzącą nieubłaganie zimę, a z nią lody zamykające Ocean Lodowaty i Morze Białe. Wprawdzie Murmańsk nie zamarza, ale port ten jest o wiele mniej dogodny z powodu akcji Finnów i przecięcia linii kolejowej. Natomiast Archangielsk czasami jest w zimie nie do użycia, czasami zaś pracuje przez cały okres nocy arktycznej. . .

Nic więc dziwnego, że w Persji prace nad rozbudową kolei transirańskiej i nad przedłużeniem tej kolei aż do sieci dróg żelaznych rosyjskich idą w tempie zawrotnym. Tak samo porty perskie rozbudowywane są możliwie szybko. Mało jest krajów na świecie, które zyskują na wojnie. Pomimo wszystko Persja będzie, zdaje się, należała do takich wyjątków.

JESZCZE JEDNA PROWOKACJA AMERYKI NA MORZU

Podziwiać trzeba istotnie spokój i systematyczną powolność amerykańską, jeśli usilne prowokacje niemieckie na Atlantyku tak mało stosunkowo wpływają na szybkość uchwał Kongresu. Niemcy bowiem do wiązanki zaczepek, po storpedowaniu kontrtorpedowca U.S.A. Kearny dodali nową i zatopili dwa dalsze amerykańskie statki handlowe, z czego jeden tym razem płynący pod banderą amerykańską. Były to s/s "Lehigh (4,938 tonn) i s/s "Bold Venture" (3,222 tonn — pod banderą Panamy). Z s/s "Lehigh" na 39 członków załogi uratowało sie 22.

Na konferencji prasowej, która odbyła się z tej przyczyny w Białym Domu w Washingtonie prezydent Roosevelt został gwałtownie "zaczepiony" przez dziennikarzy izolacjonistycznych.

—Czy "Lehigh" zatonął na amerykańskich wodach "obrony", panie prezydencie?—zapytał jeden z dziennikarzy.

—To nie ma znaczenia, jeśli zatonął na otwartym morzu,—brzmiała sarkastyczna odpowiedź wielkiego prezydenta.

—A czy jest zupełnie stwierdzone, że . . . "Lehigh" został zatopiony przez okręt podwodny niemiecki?

—Jak pan przypuszcza, kto by mógł to zrobić? Napewno nie zrobiły tego okręty podwodne angielskie, amerykańskie, francuskie czy argentyńskie. W takich wypadkach najlepszym sposobem wnioskowania jest sposób eliminacji . . . . jeśli chce się rzeczywiście rozumować.

BITWA O ATLANTYK, BITWA O ATLANTYK!!

Te i inne "rozmówki" prezydenta Roosevelta z malejącą grupą izolacjonistów amerykańskich są jakby jednym z fragmentów "Bitwy o Atlantyk", są jakby jej lądowo-parlamentarnym uzupełnieniem.

Tymczasem walka trwa bez chwili przerwy. Jej dotychczasowe wyniki ciekawie scharakteryzował porównawczo pierwszy lord Admiralicji, przemawiając w rocznicę bitwy pod Trafalgarem (21 października). Mr. Alexander stwierdził, że łączne straty Wielkiej Brytanii i Sprzymierzonych w ostatnich 12 miesiącach na Atlantyku w tonnażu handlowym są mniejsze, niż przez cały rok 1917, kiedy działały tylko same okręty podwodne. Według bowiem "Białej Księgi" wydanej po tamtej wojnie, straty spowodowane przez niemieckie U-boty od 1 lutego 1917 roku do 1 stycznia 1918 roku wyniosły 2,566 statków o ogólnym tonnażu 5,753,751 tonn. Należy zaś stwierdzić, że wówczas robota ta została wykonana jedynie przez okręty podwodne, a tonnaż, zatopiony przez samoloty, wyniósł wszystkiego 8,000 tonn. W obecniej wojnie natomiast Niemcy dysponują bez porównania potężniejszymi środkami walki, a tonnaż statków zatopionych przez lotnictwo wzrósł do setek tysięcy tonn.

"Podczas ostatniej wojny—mówił Mr. Alexander—nie było ani stawiania min z powietrza, ani min magnetycznych, ani akustycznych. Obecnie samoloty rzucają te niebezpieczne środki ataku do morza, atakują same statki i konwoje i współpracują z okrętami podwodnymi. A pomimo to, po dwóch latach bezwzględnej walki na Atlantyku chodzimy ubrani, syci, jesteśmy ogrzani i zaopatrzeni w amunicje, a wszystkie fabryki na Wyspach Brytyjskich otrzymują najkonieczniejsze surowce zza oceanu.

Oczywiście "gdzie drwa rąbią tam i wióry lecą". Ostatnio Brytyjczycy stracili na Północnym Atlantyku kontrtorpedowiec H.M.S. "Broadwater" (1,190 tonn). Jest to drugi z kontrtorpedowców zatopionych Brytyjczykom z serii 50 odstąpionych przez U.S.A.

NA MORZU ŚRÓDZIEMNYM NIE MILKNĄ STRZAŁY

W ciągu sierpnia i września 1941 roku zatapiano na Morzu Śródziemnym prawie codziennie jeden nieprzyjacielski statek transportowy. Pomimo, że Brytyjczycy i Holendrzy zaliczają sobie tylko 38 statków jako zatopionych z wszelką pewnością, jeszcze 21 statków poza tym zostało uszkodzonych, w ten sposób, że ocalenie ich wydaje się więcej, niż nieprawdopodobne. Oprócz tego 12 statków zostało trafionych przez torpedy okrętów podwodnych. W szczegółach (bardzo charakterystycznych) wygląda to następująco:

SIERPIEŃ.

Zatopione przez okręty podwodne: 5 statków transportowych, 2 szkunery.

Zatopione przez lotnictwo morskie: 9 statków.

Prawdopodobnie zatopione przez lotnictwo morskie: 11 statków.

Trafione przez okręty podw.: 1 krążownik, 1 dok pływający, 1 statek pasażerski, 1 tank ropowy, 1 statek pomocniczy.

WRZESIEŃ.

Zatopione przez okrety podwodne: 3 statki pasażerskie (transport.), 3 statki z zaopatrzeniem, 3 szkunery, 2 tanki ropowe. 1 krażownik pomocniczy (st. handl. uzbr.), 1 żaglowiec nieokreślonego typu.

Zatopione przez lotnictwo morskie: 9 statków.

Prawdopodobnie zatopione przez okrety podwodne: 2 statki zaopatrzenia, 1 pasażerski (trans.), 1 transportowiec spec., 1 stawiacz min.

Prawdopodobnie zatopione przez lotnictwo morskie: 5 statków.

Trafione przez okrety podwodne: 1 pasaż., 1 krążownik, 1 szkuner, 2 okręty zaopatrzeniowe, 2 barki z własnym napędem.

Wykaz ten *nie obejmuje* strat zadanych nieprzyjacielowi na Morzu Śródziemnym przez R.A.F.

POLSKA MARYNARKA WOJENNA CZYNNA NIEUSTANNIE

Poza "zwykłą" pracą polskich okrętów w patrolowaniu i konwojowaniu, co stanowi niekończacy się łańcuch walki w "Bitwie o Atlantyk", dywizjon naszych kontrtorpedowców (O.R.P. "Piorun" i O.R.P. "Garland") wziął ostatnio udział w konwojowaniu słynnego transportu na Morzu Śródziemnym (w którym H.S.M. "Nelson" został trafiony torpedą z samolotu włoskiego). Okręty polskie razem z okrętami brytyjskimi i holenderskimi walczyły skutecznie z włoskim lotnictwem ("Garland" ma jednego na rozkładzie) i uczestniczyły w pościgu za przeważającymi siłami morskimi Włochów, którzy jednak zdołali uciec. (To potrafią znakomicie!) . . .

W walce z bombowcami nurkującymi i samolotami torpedowymi Sprzymierzeni strącili z górą 12 włoskich samolotów, pomimo niewątpliwej brawury i odwagi pilotów włoskich, jak stwierdzają bezstronnie nasi marynarze. Straty sprzymierzonych (według gazet), wyniosły: 1 statek transportowy zatopiony i H.M.S. "Nelson" trafiony jedną torpedą. (Bez strat w ludziach wielki okręt liniowy brytyjski dopłynął spokojnie do swojej bazy, przy nieznacznym stosunkowo zmniejszeniu szybkości). Konwój dotarł na miejsce przeznaczenia.

O.R.P. "SOKÓŁ"

A oto wyjątek z rozkazu Polskiego Naczelnego Wodza Nr. 14:—

"O.R.P. "Sokół" odbył w okresie (. . następują daty . . .) kilka patroli, spędzając ogółem na morzu (. . . w tym czasie . . . mój dop.) 58 dni w tym 930 godzin w zanurzeniu. Na ostatnim patrolu (. . . nastepuje data w owym czasie . . .) o godzinie 4 rano O.R.P. "Sokół" zaatakował nieprzyjacielski konwój, składający się z transportowca o wyporności około 10.000 tonn, eskortowanego przez 2 kontrtorpedowce. O.R.P. "Sokół" został ostrzelany przez okręty eskortujące i został zmuszony do zanurzenia się—wskutek czego atak torpedowy wykonany został przez podsłuch. (Z powodu ciemności przez peryskop nic nie było widać) O.R.P. "Sokół" wystrzelił z odległości około 1.000 metrów 4 torpedy. Trafienia nie otrzymał.

W związku z tym atakiem Dca Flotylli okretów podwodnych przysłał następujące pismo:

"Śmiały i stanowczy sposób w jaki dowódca czekał pod brzegiem okupowanym przez nieprzyjaciela, żeby właśnie taki atak mógł nastąpić, zasłużył na lepszy los. Stanowczy i przedsiębiorczy sposób wykonania ataku w mylących okolicznościach uważany jest również za bardzo godny pochwały."

PIERWSZY LORD ADMIRALICJI BRYTYJSKIEJ O POLSKIEJ MARYNARCE WOJENNEJ

W tygodniku angielskim "The Listener" podany jest pełny tekst przemówienia Pierwszego Lorda Admiralicji o Marynarkach Wojennych państw sprzymierzonych. Jest tam też ustęp poświęcony Polskiej Marynarce Wojennej:

"Polską Marynarką Wojenną kieruje Vice Admirał Świrski K.C.B. Marynarka ta istnieje zaledwie kilka lat, co nie przeszkodziło jej w uzyskaniu niewątpliwie wysokiego poziomu wyszkolenia i sprawności. Jest to szczególnie cenne. Trudności, które stanęły przed polskimi okrętami, gdy nadszedł czas, aby opuścić ojczyste wody, były specjalnie wielkie. Nie można było dopuścić do całkowitej zagłady tych okrętów przez wroga. Dlaczego tak było można łatwo się przekonać, rzuciwszy okiem na mapę Bałtyku i na wejścia do tego morza. Powszechnie znana jest historia dwu polskich okrętów podwodnych, i ich przygody, od których włosy powstają na głowie, a które to okręty zdołały szczęśliwie wydostać się do Anglii.

Polacy rozporządzają obecnie kilkunastu okrętami, przeważnie kontrtorpedowcami, i okrętami podwodnymi. Jest to wspaniała mała siła zbrojna na morzu, która była używana i wypróbowywana wielokrotnie. We wszystkich wypadkach dowiodła, że ożywia ją prawdziwy duch bojowy (the true offensive spirit)."

POLSKA MARYNARKA HANDLOWA

W parlamencie angielskim często podnoszą się głosy, że zbyt mało doceniana jest rola Marynarki Handlowej w "Bitwie o Atlantyk," a przecież od jej pracy i od jej sprawności tak wiele zależy. Służba na statkach handlowych, które nie tylko są atakowane z powietrza i z pod wody, ale często same biorą udział w walkach, jest bardzo ciężka, niebezpieczna i wyczerpująca. Może ona być porównana tylko ze służbą marynarza na okrętach wojennych, lotnika, walczącego w powietrzu, czy żołnierza w linii bojowej. Wódz Naczelny Polskich Sił Zbrojnych na wniosek Kierownictwa Marynarki Wojennej wydał ostatnio następujący rozkaz:

—"Doceniając w całej pełni ważność i niebezpieczeństwo służby na statkach Marynarki Handlowej, uważam służbę tych wszystkich, którzy ją pełnią należycie podczas obecnej wojny na polskich statkach handlowych, za równie zaszczytną, jak służbę w Marynarce Wojennej.

Pewny jestem, że w przyszłości personel Marynarki Handlowej spełniać będzie swe obowiązki należycie i ofiarnie.

Ewidencja osób, zatrudnionych na polskich statkach handlowych w czasie wojny, będzie dokładnie prowadzona, zaś w książkach żeglarskich i innych dokumentach będzie ustalony czas faktycznie spędzony na uruchomionych statkach."

Rozkaz ten jest wyrazem wielkiego uznania dla naszych marynarzy handlowych, którzy zresztą mogą się poszczycić niejednym czynem chlubnym, niejednym czynem bojowym i kilkudziesięciu Krzyżami Walecznych.

Londyn, 25 października 1941 r.

Bohdan Pawłowicz

P.S. W poprzednim numerze "Polski Walczącej" ukazał się krótki artykuł podpisany przez p. Antoniego Jawnutę p.t. "Anglia i Anglicy," z którym niestety absolutnie nie mogę się zgodzić, pomimo niewątpliwie zacnej intencji autora. Dowodzi on, że docenianie potęgi Floty Wojennej na morzu przez Brytyjczyków jest rozumowaniem przestarzałym i że dzięki lotnictwu Marynarka Wojenna straciła swoje znaczenie i "nie samo morze będzie decydowało o wyniku wojny, jak to było w wojnie poprzedniej" . . .

Sądzę, że zaszło tu grube nieporozumienie. Jak widzimy ze zmagań na morzach świata, samolot daleki jest jeszcze od *decydowania* o władztwie na morzu. Może *niszczyć i topić*, ale nie może *utrzymać* dróg komunikacyjnych, co występuje tym jaskrawiej im dalszy jest promień działania. Nikt z ludzi morza nie przeczy, że dzięki lotnictwu dokonał się przewrót tak na lądzie, jak i na morzu. Samolot zmienił *taktykę*, ba *strategię* walki, zmieni zapewne również i *politykę budownictwa i protekcji* na morzu ale dopóki nie będzie zdolny do opanowania i tego żywiołu, dopóty flota morska przy współdziałaniu lotnictwa będzie rozstrzygała. . . . Tak, jak lotnictwo na lądzie nie decyduje ostatecznie bez współdziałania z wojskiem, tak samo na morzu samolot nie opanuje ani morza, ani nie zadecyduje o wyniku *ostatecznym bez współdziałania z marynarką wojenną.*

Oba rodzaje sił zbrojnych są we współczesnej walce na morzu nieodzowne i jak takie współdziałanie na morzu wygląda i jakie są jego rezultaty—dowiódł admirał Cunningham na Morzu Śródziemnym niejednokrotnie, dowiodła też bitwa z "Bismarckiem."

* por. dwa artykuły Gustawa Gazdy na ten temat w nr. 36 i nr. 40 "Polski Walczącej" z b.r.

SPIS RZECZY.

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej—13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.
Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices), The Carlton Berry Co., 136, Grand Buildings, Trafalgar Square, W.C.2. Tel.: ABBey 5108.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.